Bronisława Rutkowska

OPALE * POEZJE

544.840/1

BRONISŁAWA OSTROWSKA

PISMA POETYCKIE

TOM PIERWSZY

I.544.840/1.

BIBLIOTEKA NARODOWA

J M

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001008721059

WARSZAWA MCMXXXII KRAKÓW

BRONISŁAWA OSTROWSKA

OPALE * POEZJE

WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA

Wydanie pośmiertne z zasiłku Departamentu Sztuki
M. W. R. i O. P.

Odbito egzemplarzy numerowanych
1 — 50 na ręcznie czerpanym papierze mirkowskim
51 — 1700 na mirkowskim papierze bezdrzewnym

Nr. 1569

Przedmową poprzedził
JAN LECHOŃ

Przygotował do druku i opatrzył przypisami
LEON PIWIŃSKI

Drukarnia Naukowa T-wa Wydawniczego w Warszawie
Rynek Starego Miasta Nr. 11

Bronisława Ostrowska

PRZEDMOWA

Jeśli czytać chronologicznie utwory zebrane pod okładkami tego wydania — trzeba się smutnie zamyślić nad tem pięknem życiem, które się w nich zamknęło.

Bronisława Ostrowska była bowiem popularna i uznana w czasie, kiedy jej twórczość, zawsze pod względem formy nieskazitelna, żyła przeważnie wspólnem życiem okresu Młodej Polski, kiedy w niej zbyt dużo było jeszcze zapatrzenia się w doskonałość cudzą, kiedy najgłębsze swe uczucia ukrywała nieraz poetka w lśniących jedwabiach swych wierszy, a może jeszcze nie znała sama siebie.

Wiersze najprostsze, najsilniejsze, niezwykła, zarazem tajemnicza i jasna jak Villiers de l'Isle-Adam proza, cały ostatni okres pisarski Ostrowskiej był czasem zdobywania poetyckiego imienia przez młodszych poetów, czasem takiego zachłyśnięcia się nowem wolnem życiem — że zdawały się naprawdę przeszłością najświetniejsze zwycięstwa, najtrwalsze budowle przeszłości.

Bronisława Ostrowska z jakąś ofiarniczą wyniosłością, z dumnem samozaparciem się, które było herbem jej całego pięknego życia, zaniechała wtedy drukowania swych wierszy, tych właśnie najprostszych, najgłębszych, jakby nie widziała, że ich forma

jest tak współczesna, tych wierszy, które wybiegały nieraz myślą poprzez zwycięską falangę młodej poezji.

Jęła się rzemiosła pisania dla dzieci, pouczania społecznego — robiła to z zapałem, uczyła rozumnie. W literaturze dziecinnej na zawsze zostaną jej Książeczka Halusi, Gwiazdka polskiego dziecka, Bohaterski Miś, *ale przecież żyjąc tak głęboko sztuką, stworzyła Ostrowska pozór, że już jest poza nią.*

I dopiero trzy tomiki, wyszłe z druku po jej śmierci, odkryły tajemnicę tych ostatnich lat życia Ostrowskiej, które toczyło swój głęboki, tragiczny nurt pod równą powierzchnią jej dydaktycznego pisarstwa, odsłoniły nam niezabliźnione rany serca, które dumna i wytworna Bronisława Ostrowska tak bardzo ukrywała przed nami.

Już poprzez znycerską robotę młodzieńczej poezji Ostrowskiej przedziera się krzyk jej poza grób wiernego serca, krzyk o wyższą sprawiedliwość. Ale dopiero w ostatnich utworach Ostrowskiej jest pełna miara jej artyzmu. Przedziwne, bo zarazem wstrząsające straszną prawdą i zachwycające wyrafinowaną sztuką nowele W starem lustrze *są już rozpaczą skamieniałą w cudownej rzeźbie.*

Własne nieszczęścia, los wydziedziczonych, mękę polskiej niewoli — wszystko zarówno brała Ostrowska do swego serca, aby pełnić kobiece posłannictwo miłosierdzia — dobrowolną ofiarę swego życia, lgnąc całą duszą do zbawczej wiary w odkupienie.

Jest doprawdy nad pojęcie, że ta dusza tak delikatna, stworzona, zdawałoby się, tylko poto, aby ją pieścił przepych życia i czary sztuki, mogła dźwi-

gać ciężar tak wielkich przeżyć, że zdolna była z jakąś Michała Anioła czy Dostojewskiego odwagą tak rozmawiać sama z sobą, jak rozmawiała w ostatnich utworach. Jest dręczącą prawdą, że pod muzycznością Ostrowskiej, pod jej cyzelerstwem rymów, kryły się jakieś wielkie siły, dławione przez koloraturową szkołę, w której uczyła się Ostrowska.

Przedwojenna liryka Ostrowskiej nie jest tylko pięknym dokumentem epoki, żyje ona w niejednej zwrotce szczerszej i prostszej niż wtedy pisano — we wszystkich wierszach jest najwyższy, na Słowackim i świetnych Francuzach kształcony kunszt, prawie że w nich niema tego aspołecznego sobkostwa, które taką było wtedy modą. Pod tym względem Ostrowska zawsze trzymała miarę między estetyzmem Młodej Polski a jakby z ducha Konopnickiej jakąś macierzyńską bliskością do życia. Są wiersze Ostrowskiej, których się nie zapomina, których melodja i uczucie wnikają w nas na zawsze, jak naprzykład ten wiersz tajemniczy: «Ja ciebie, cicha, widzę już i pragnę cię ogromnie» («Z tamtego brzegu»).

Jednak nawet liryzm Ostrowskiej doszedł do kryształowej czystości, do słów jedynych dopiero w Tartaku słonecznym, *w takich klejnotach jak «Biała godzina». Cóż mówić o tej tragicznej myśli, o tej baudelairowskiej ironji, o tej wspaniałej sztuce i swobodzie wiersza, które czynią z «Koła święconej kredy» jeden z najbardziej nowoczesnych, najgłębszych, najbardziej męskich poematów polskiej poezji, cóż o ostatniej prozie, tak własnej, tak oddającej prawdę i tak budzącej marzenia. Objawił się w nich*

duch tragiczny, zdolny szydzić, targać się, kamienieć w smutku, — objawił się nam wtedy dopiero, gdy był już w odlocie.

Notatnik Rozmyślań, *też pośmiertnie wydany, odkrył nam, jakie to myśli szerokie i jakie uczucia chrześcijańskie wypełniały ostatnie lata Ostrowskiej, jak bardzo żyła ona temi przemianami, które w ludziach i sprawach międzyludzkich zrobiła wojna i rewolucja, jak starała się zgodzić mistyczne nauki swego mistrza Słowackiego z nauką płynącą z tego nowego życia.*

Nie dane było Ostrowskiej znaleźć w wierze mistycznej ukojenia jej ziemskich bólów. Jej wiara mocowana częstem czytaniem Biblji, nieraz przemawiająca słowami pokory i zgody ze światem, w okresie kiedy Ostrowska zbliżała się do spokoju buddyjskiego, wybuchnęła lucyferycznym buntem przeciw złu życia, przeciw złudzie rzeczywistości, namiętną, jakby grzeszną tęsknotą do innych krajów.

Ale ten krzyk rozpaczy, którym duch Ostrowskiej żegnał nasz świat, aby poprzez mroki długiej walki z cielesną powłoką wydostać się w jasne sfery, był to głos tego ducha wiecznie zbuntowanego, który może wcielił się w ciało zbyt słabe, aby zapanować nad materją, i którego daremnie chciała poetka przymusić do wyrzeczenia się swej dumy, do uznania tej ziemi za jego ziemię.

Takie to właśnie duchy tyle uwielbiony przez Ostrowską Słowacki miał za najbliższe sercu naszego Wielkiego Nauczyciela.

Jan Lechoń.

OPALE

(1902)

Mężowi memu

MIŁOWANIE

(FRAGMENTY)

I

Jak małe dzieci, co się w nocy boją,
Do swej słonecznej modliłam się pani:
By utuliła smutną duszę moją,
Białe swe ręce położyła na niej,
I tam powiodła, gdzie gwiazdy się roją
Nakształt pszczół złotych w błękitnej otchłani,
I w wielkiej trwodze migocą i brzęczą,
Gdy mgła owionie je siecią pajęczą.

By mię powiodła ta pani w roztoczy,
Idąc przede mną jak anioł skrzydlata,
A gdy nas bezmiar milczeniem otoczy
I gdzieś z gwiazdami niebieskiemi zbrata,
Żeby mi ręką zasłoniła oczy
I znów przywiodła do ludzi i świata
Z duszą, co, świateł zalana potokiem,
Na nędze ziemi patrzy jasnem okiem.

Tak się modliłam, wierząca jak dziecię,
Że ona zejdzie aniołem w noc ciemną,
Że jasną szatą ciemności rozmiecie
I że mi powie, jak dziecku:—Pójdź ze mną!—

Aż przyszła. — Jaśniej się stało na świecie,
Kiedy mi rzekła swą mową tajemną:
— Pójdź! — Potem, tuląc mię całą do siebie,
Promienną dłonią powiodła po niebie.

Więc poszłam za nią w bezbrzeżne zaświaty
Jak ten, co wraca w zapomniane kraje,
I patrząc z dziwem na sady i chaty,
Swój dom rodzinny jak przez sen poznaje.
Patrzałam cicha na gwiazd złote kwiaty,
Gnące kielichy nad mleczne ruczaje,
I śniłam w sobie, że dziwna baśń złota
Wiedzie mię kędyś do zdroju żywota.

A gdy już wszystkie dole i niedole
Znikły mi z oczu w błękitnym bezczasie,
Tu zobaczyłam niezmierzone pole
W przedziwnych kwiatów tęczobarwnej krasie,
Gdzie zwiewna cisza w wianku gwiazd na czole
Jakoweś stada białorune pasie,
A one chodzą milczące i zbożne,
Przed swą pasterką chyląc głowy trwożne.

Ona kieruje obłędnemi stady,
Wiodąc je kędyś na darń aksamitną,
Gdzie jak anielskich łez srebrzyste ślady
Gwiezdne narcyzy promieniście kwitną,
Kędy się leją komet światłospady
I przelśniewają dalekość błękitną,

I gdzie się kładą chmur śniegowe piany
Na szafirowych głębin oceany...

Przez one głębie mknęły złote łodzie,
Co miały jasne promienie za wiosła,
Na lazurowe płynęły powodzie,
Jak kwiaty, które wodna toń podniosła,
A w bezustannym, milczącym pochodzie
Świetna ich rzesza w nieskończoność rosła,
Gnana przez mglistych szafirów przestrzenie
W ogromną jasność Bożą i milczenie.

Obok przez mlecznych gościńców krynice,
Niby łabędzie, co wielką gromadą,
Płynąc przez wirów obłędne ciemnice,
Czarne swe skrzydła na bujny wiatr kładą,
Płynęły łodzie we mgle, żałobnice...
A za łodziami, jak mew białych stado,
Stado słów moich zbłąkane w bezdrożu
I mrące w locie na bezkresnem morzu.

II

Kędyś w zaświatach jest żywa krynica,
Z której promienie lazurowe biją,
A taka cichość jej głębie przesyca,
Że, jak łabędzie z wyciągniętą szyją
Pijące z fali odbicie księżyca,
Duchy z niej blaski zaświatowe piją

I spoglądają jasnemi oczyma,
Że głąb niebieska obrazy ich trzyma.

Czasem się fala we mgłach zakolebie,
Łącząc na głębi dwóch duchów odbicie,
Że one wzajem wcałują się w siebie,
Że się roztopią w ogromnym zachwycie
I, jak dwie gwiazdy, lecące po niebie,
Świetlaną smugą przelecą w błękicie,
Niosąc na ziemię, jak sen nieuchwytny,
Wspomnienie onej krynicy błękitnej.

Ziemia je żarem otacza i mrokiem,
A one jeno uściskiem się splotą
I urzeczone tajemnym urokiem
Pną się w lazury zaziemską tęsknotą,
Śniąc, że znów staną nad owym potokiem,
Jak ptaki, łuną przepalone złotą,
Że krwawe pióra obmyją w promieniach
I znów gwiazdami zabłysną w przestrzeniach.

Nad brzeg tej jasnej krynicy bezmiarów
Wiodła mię moja przewodniczka biała
I, jako chmurka nadwodnych oparów,
Mgłą się ulotną w przestworzu rozwiała...
A ja, schylona nad głąb pełną czarów,
Co się w jasności lazurowej chwiała,
Topiłam oczy w głębinie bezdennej,
Gdzie drżał odbity rój duchów promienny.

III

Może te dusze, co dążą przez ciemnie
Do jakiejś wielkiej jasności i Bożej,
Gaszą się jeno i ranią wzajemnie
I nie dochodzą do niebieskiej zorzy...
Może ty byłbyś tak cichy beze mnie,
Jako ów łabędź, który skrzydła złoży,
A wiew mu żaden białych piór nie wichrzy...
A może byłbyś od łabędzia cichszy...

Może beze mnie byś przeszedł przez życie
Jednym bezgłośnym lazurowym błyskiem
(Tak Boży anioł przepływa o świcie
Ponad zamarłych światów cmentarzyskiem).
Możebyś ducha utopił w błękicie
I nieskończoność ogarnął uściskiem,
A jako w słońce spływa promień złoty,
Tak spłynął w Boga promieniem tęsknoty.

Może, jak one upiorne powoje,
Co się dokoła młodych dębów plotą,
A są jak ramion ukwieconych dwoje
I zabijają namiętną pieszczotą,
Tak cię oplotło ukochanie moje,
Tak przywiązało do ziemi tęsknotą,
Że oto nakształt kwietnego łańcucha
Skuło cię sobą i wrosło ci w ducha.

Jednak ja wierzę, że wielkie kochanie
Jest Bożym ptakiem zbłąkanym na ziemi,
Że może loty kierować w otchłanie,
Lecz pewnem skrzydłem przelata nad niemi!
Że ono kiedyś w jasności zórz stanie
Na blask rozpięte skrzydłami wielkiemi,
I w one skrzydła bezmiernie utuli
Tych, co głęboko wierzyli i czuli.

JAK TEN MŁODY PTAK

Wyleciała mi z duszy piosenka,
Wyleciała jak ten młody ptak,
Co się lotów wichroskrzydłych lęka
I któremu sił do lotu brak.

Zanuciła ptaszęcym świergotem
I strzepnęła ranną rosę z piór,
Rozbujana na powietrzu złotem
Pod błękitem słonecznym bez chmur.

Lecz gdy przyszły chmury piorunowe
I zasnuły lazurowy szlak,
Skryła w skrzydła przerażoną głowę
I zamilkła, jak spłoszony ptak.

Potem głośny jęk mi wyrwał z duszy
Wielki twórca pieśni płaczu — ból,
Jęk, co skonał w beznadziejnej głuszy,
Jak płacz wichru na odłogach pól.

Nie doleciał z żywota otchłani,
Z szarych bagien ludzkich krzywd i mąk
Do tej jasnej i słonecznej Pani
Na jutrznianych firmamentów krąg.

Aż mi z piersi dusza się wyrwała
Na gościńce lazurowych dróg,
Kędy mieszka ona Pani biała,
Pieśń wszechświata, jego sen i Bóg.

Z trosk codziennych wzbiła się obręczy,
Rozerwała własnej piersi cieśń,
I przed Panią oną białą klęczy,
Aż ją zaklnie ona Pani — w pieśń.

PO KWIATACH

Chciałabym umrzeć w bladą noc sierpniową
Na jakiejś łące zielonej i cichej,
Gdzieby mi gwiazdy spadały nad głową
I lilij polnych szeptały kielichy
Dziewiczej woni tajemną rozmową.

Kiedy wilgocią nocy dyszy łąka,
I wiatry lekko trawami kołyszą,
A mgła się w mroku upiorami błąka,
I sny srebrzyste nad kwiatami wiszą,
Aż zbudzi ziemię ranna pieśń skowronka.

Czułabym wtedy, jak po kwietnej fali
Odchodzi kędyś w stronę świtu życie,
I śmierć o skrzydłach z łkających opali,
Blada, jak tęczy na wodzie odbicie,
Zbliża się ku mnie z oddali... z oddali...

Złożyła skrzydła bezszelestne, blada,
I gdzieś przez kwiaty wlecze je za sobą,
Jak pył swój wlecze płacząca kaskada,
I wieje od niej tą wielką żałobą,
Co na mogiłach opuszczonych siada.

A kwiaty zbladłe i smętne ogromnie
Kładą się łanem pod chłodną jej nogą,
Pokotem kładą się, drżąc nieprzytomnie,
I główek podnieść od ziemi nie mogą,
I tak po kwiatach śmierć zbliża się do mnie...

WIOSNĄ

Powstały blaski rannych zórz,
Świat budzi się radosny,
Zielony runią młodych zbóż,
Bijący tętnem wiosny.

Z dalekich szczytów spłynął śnieg,
Rozkwitły już sasanki,
Już się przystroił stawu brzeg
W kaczeńców złote wianki.

W powietrzu dzwoni ptactwa chór,
Co wraca z poza morza,
I chat pochyłych długi sznur
Oświeca młoda zorza.

Na drzewie pachnie każdy liść,
Pękają kwietne pąki,
A mnie coś każe iść i iść
Na pola, bory, łąki...

I marzy mi się ściernisk krąg,
Skąd resztę snopów zwożą:
Widzę pożółkłą zieleń łąk
Pod zachodową zorzą...

BIBLIOTEKA NARODOWA

I widzę białe rzędy chat
I smukłych topól sznury
W uwiędłem złocie letnich szat,
Przetkanych w liść purpury.

W powietrzu krąży świetlny kurz
Nad zżętych pól ścierniska,
A nić pajęcza blaskiem zórz
W jesiennem słońcu błyska.

Żórawi słychać ostry śpiew,
Mgła z lasu płynie sina,
A od owocu szereg drzew
Ku ziemi się przygina.

BOGDAJEM...

Bogdajem rosła jako krzaki głogów
W słonecznem złocie,
Albo wykwitła wśród pustych rozłogów
Jako stokrocie.

Bogdajem była jako brzoza biała
Liście rozwiała,
Lub pokraśniała wśród leśnej gęstwiny,
Jako kaliny.

Bogdajem była dziewanną tą złotą,
Słońca pieszczotą,
Albo wyrosła jak kwiecie kąkolu
We szczerem polu.

SOSNA

Na złotych piaskach wyrosłaś,
O sosno!
Gdzie rdzawe mchy tylko rosną,
Ty w niebo czoło podniosłaś,
O sosno.

Stoisz jak mara cmentarna,
Sieroto!
Dokoła blaski i złoto,
Ty stoisz smutna i czarna,
Sieroto.

Sięgasz w lazurów gdzieś stropy,
Ty dumna!
Lecz kwiatów gromada tłumna
Nie błyszczy pod twemi stopy,
Ty dumna.

Bo nie dasz cienia tej ziemi,
O sosno!
I tylko rdzawe mchy rosną
Pod konarami twojemi,
Sosno...

ROJENIA

Lubiłabym płynąć przez wiry tych głębi,
Gdzie woda się burzy, i kipi, i kłębi,
I białą rozpryska się pianą,
I chciałabym wtedy opuścić w dół wiosła,
By fala szalona łódź moją uniosła
W błyskawic krainę nieznaną.

I chciałabym dosiąść dzikiego rumaka
I lecieć przez stepy, — gdy pustka wkrąg taka,
Że wiatr jeno świszcze i wyje:
Pijana przestrzenią w dal leciećbym chciała,
Pić rozkosz bezmiaru i tonąć w nim cała
Jak ptak, co nad światem wiatr pije.

I chciałabym zasnąć... nie w nocnych chwil ciszę,
Lecz kiedy jodłami zły wicher kołysze,
A niebo od gromów się żarzy;
Nad brzegiem przepaści bezdennej i czarnej,
Gdzie orzeł się nawet wśród pustki cmentarnej
Na skrzydłach szerokich nie waży.

A kiedy sen nocy rozściele się wkoło,
Ja chciałabym oprzeć na głowie lwa czoło,
Kark złoty opasać ramieniem,
Do grzywy królewskiej przytulić mu głowę,
I w żarach pustyni sny roić tęczowe
Pod nocy gwiaździstej sklepieniem...

MELANCHOLJA

Przez szerokie pola i omglone,
Poprzez smugi drzemiące i jary,
Idę sama w nieznaną gdzieś stronę,
Idę sama w nieznane bezmiary,
Idę drogą zawodną i ciemną,
A mgła jeno i smutek przede mną.

Cisza tuli step senny i sioła:
Lecz nie cisza rozkosznych uniesień,
Ale taka, co kwiaty i zioła
Gnie ku ziemi zmartwiałe pod jesień,
Ale taka głęboka, gnębiąca,
Że myśl w mroku nie szuka już słońca.

A w oddali ogromnie zamglonej
Krzyż się czerni cieniami smutnemi;
Zda się swemi długiemi ramiony
Błogosławić niebiosom i ziemi,
Na szerokie rozlewa się łany,
Rozełkany, ogromny, rozwiany.

A ja idę wciąż dalej i dalej,
A mgły w wieńce ciemności się plotą;
W bezjutrzennej, skłębionej ich fali
Noc ugory zasnuwa tęsknotą,
I krzyż stary na pustem bezdrożu
Zwolna ginie w bezdennych mgieł morzu.

RUSAŁKI

I tak się wlecze w samotnem jeziorze
Wyklęte życie i dola wyklęta,
A wkoło śpiewnej topieli bezdroże,
Pachnące rdesty nadbrzeżne i mięta.
Wietrzane szumy chodzące po borze,
Rzesza widziadeł we mgły owinięta
I wieczna klątwa, która nocną porą
Tuli skrzydłami wyklęte jezioro

Jest jedno ciche jezioro samotne
Pośród odludnej borowej polanki:
Opary nad niem włóczą się wilgotne,
Rosiste wonie płyną z macierzanki,
A w woniach łątki kołyszą się lotne,
Tworząc błękitne, latające wianki
Na płaskich liściach białych lilij wodnych,
Wiecznie śnieżystych, milczących i chłodnych.

W głębi jeziora jest państwo zaklęte,
Dziwne królestwo wodne, rusałczane,
Gdzie topielice kryją ciał ponętę
Za kryształowych swych pałaców ścianę,
Gdzie się porosty po skałach rozpięte
Stroją jak w srebro w błędnych wirów pianę,
I gdzie się palą w bajecznych komnatach
Upadłe gwiazdy w białych lilij kwiatach.

W onych jeziora kryształnych przezroczach
Pod granitowych skał sklepieniem szarem
Mieszka jedyny władca na roztoczach,
Znudzony wiecznym fal żałosnym gwarem,
Który ma jeno chłód a grozę w oczach,
Przed którym blednie rusałczany harem,
I drży pod władcy żelaznego nogą,
Jak rój niewolnic rozkochany trwogą...

W jeziorze pławią się gwiazdy promienne,
I toń modleniem harfianem wkrąg brzęczy,
A biały harem, chyląc głowy senne,
Pośród kaczeńców złotookich klęczy,
Aż kiedy zorze zabłysną jutrzenne
Niknie pod bramą opalowej tęczy,
I na łożnicach wśród barwnych snów wianka
Czeka napróżno pana i kochanka...

Leżą tak senną rzeszą i bezwładną
Onych rusałek ciała roztęczone:
Czasem im blaski na włosy upadną,
Strojąc je w dziwnej światłości koronę,
Czasem libela błędna zleci na dno
Lub jakie ptaszę, polotem zmęczone,
Na złote włosy lub na piersi białe
Padnie i ciche leży i zmartwiałe...

Śnią się rusałkom jakieś białe chaty,
Pszczoły gwarliwie brzęczące na lipie,

Na strzesze wianek jaskółek skrzydlaty,
Konie przy studni żórawianym skrzypie —
A do ich łożnic przez trzciny i kwiaty
Żalu się skręty czołgają polipie,
Co oplatają w swe ślizgie spowicia
I każą tęsknić do dawnego życia...

Więc do tej ziemi tęsknią z wodnej toni,
Kędy im słońce świeciło przed laty:
Gdzie pieśń skowrończa o poranku dzwoni
A rosa perli zasłuchane kwiaty;
Gdzie wiosną w sadach kwietna trześń się kłoni,
Gałąź czeremchy puka w okno chaty
I dziewki kwitną, by róże majowe,
Krwią rozigraną wonne i różowe.

Władca zaś w chłodnym jeziornym błękicie
Na skalnem łożu wypręża ramiona:
Jak orzeł, wichrem pijany o świcie,
Na słońce rwie mu się dusza stęskniona,
Za świat, na górne i słoneczne życie,
Tam, gdzie tęsknica na bezkresach kona,
Gdzie buja orłów wichrowa gromada,
I gdzie na gwiazdach wielka duma siada!

Lecz sny wsiąkają w jeziorne topiele,
A nad głębiami przewiewa dech grozy:
Dreszcz się po wrzosach, po dziewannach ściele,
I lilijowe kołysze skabjozy,

Że mrą w powietrzu błękitne libele,
Że trwoga trzęsie osiki i brzozy,
Że się pokotem gną nadbrzeżne rdesty,
I fal w sitowiu konają szelesty...

Aż znów zbudzone miesięczną pozłotą
Wstają rusałki beznadziejną rzeszą,
I jeszcze ze snu owianą tęsknotą
W miesiącu włosy rozpętane czeszą:
W błyskawicowe warkocze je plotą,
Złociste iskry na głębinach krzeszą,
I na nadwodne wbiegają porosty
Przez blasków mlecznych księżycowe mosty.

To znów mdlejące padają pokotem
Przed granitowych skał tronową niszą,
Wabnemi ciały błyskają przelotem,
Jak białe kwiaty na wodnych mchach wiszą;
Lecz pan ich oczy zatopił w dnie złotem,
Choć mu rusałki u nóg się kołyszą
I pragną drżące na każde wezwanie
Swojemu władcy dać szał i kochanie.

Do innej, innej, widzianej w snach pani
Śle dziewosłęby wieczystej tęsknoty
Ten, co jak pyszni duchowie wygnani
Wiecznie na słońce wznosi błędne loty. —
On gwiazdę ściągnąćby chciał do otchłani,
By w pocałunkach blask wypijać złoty

I mieć kochankę ogromnie świetlaną,
Całą z promieni i ognia utkaną.

A tej nie znalazł w swych niewolnic tłumie
I w państw podwodnych zwierciadlanej fali,
Tej, która chodzi w tęsknocie a w dumie,
Jak złota gwiazda po niebie z opali,
A przecie gorzeć i miłować umie,
Jako orlica, co w słońcu się pali;
A tej nie znalazł w głębi jezior szklanej,
Tej wymarzonej i tej ukochanej.

Nieraz w odbiciach topielnych przezroczy
Obraz jej mary spostrzega nad wodą,
Więc w dal wytęża roztęsknione oczy,
Ale rusałki przed tron jego wiodą
Drżącą pod płaszczem rozwianych warkoczy,
Olśnioną ciała własnego urodą,
Siostrzycę swoją wabną, śnieżnołoną. —
A nie tę inną i nie tę wyśnioną.

I znów w obłędnej topieli przepychu
Stoi przed panem nowa topielica:
Na wodnej lilji oparta kielichu,
Oblana zimną jasnością księżyca,
Patrzy przelękła i płacze pocichu,
Kryjąc włosami blednące swe lica,
I szepcząc trwożnie, że ona niewinna,
Że tam nad falą żyjąc, była inna.

Dziś pogrążona w topielną martwotę,
Jak kwiat ma wonne i śnieżyste ciało,
Błękitne oczy i warkocze złote,
Głos słowikowy i cudną pierś białą;
Lecz powab jeno w oczach a pustotę,
Bo serce w piersi jej chłodnej zmartwiało;
Zmartwiała dusza górna i słoneczna,
I stoi nad nią ona klątwa wieczna.

Fala się garnie w nadbrzeżne kaczeńce
I skry gwiaździste na głębi roztrąca,
A wkrąg rusałki splątane we wieńce,
Jak nenufary w poświacie miesiąca,
Albo łabędzie nad morzem, stracenice,
Kiedy je gwiazda przerazi lecąca —
Tulą się trwożnie i patrzą z oddali,
Jak pan ich szałem miłosnym się pali.

A on olbrzymi powstaje na tronie
I prężу ręce na głębię spienioną;
Zda się w dwa skrzydła urosły mu dłonie,
I dwa pioruny w źrenicach mu płoną.
Ptakiem do lotu się zrywa przez tonie,
Ptakiem chce lecieć za marą straconą,
Lecz zwolna ściemnia się w sobie i mroczy,
Jak ten, co śmierci zapatrzył się w oczy.

A w górze topiel zawodzi i jęczy —
I tak kołysze wzburzony nurt siny,

Aż się wskroś cała jak harfa rozbrzęczy
Na chwiejnych strunach sitowia i trzciny...
Wtedy na pieśni, jak upiór na tęczy,
Zmora tęsknica powstaje z głębiny,
I w ciemne skrzydła szeroko rozpięte
Ogarnia całe jezioro wyklęte.

Z TAMTEGO BRZEGU

Ja ciebie, cicha, widzę już,
I pragnę cię ogromnie;
Ja ciebie, cicha, widzę już:
...Owiana kwieciem zwiędłych róż
Powoli spływasz do mnie.

Spowita w obsłon białych śnieg,
Owiana snem i wonią,
Spowita w obsłon białych śnieg,
Wskazujesz tamten, — cichy brzeg
Przejrzystą swoją dłonią.

Nad czołem gwiazdy zgasłe masz
I martwych róż kielichy,
Nad czołem gwiazdy zgasłe masz
I zadumaną, bladą twarz
Otulasz w całun cichy.

Za tobą płynie pieśni dźwięk
Rozwiany w wiatru tchnienie,
Za tobą płynie pieśni dźwięk,
A mnie ogarnia dziwny lęk,
Lęk wielki i pragnienie.

Ja ciebie, cicha, widzieć chcę
Przepiękną, nieskończoną;
Ja ciebie jasno widzieć chcę —
Rozwiać całunów twoich mgłę
I paść na twoje łono.

WIZJA

Pamięci Stanisława Brzozowskiego

— I była mała polana wśród gór,
gdzie rosły dziwne kwiaty z blasków tkane:

wybłyskiwały nakształt błędnych ogników,
co nocami latają przez ciemnie,
i tłumiły, i gasiły się wzajemnie,
wyiskrzone, jak oczy zapaśników
w walce na śmierć i życie.

Były tam chore kwiaty cieplarniane,
jak żyrandole w balowych salach płonące,
i takie jak błyskawice
nawalnych chmur,
i takie jak gwiazdy spadające,
i takie jak łuna na pogodnym błękicie,
i takie jak gromnice
zapalone w zaduszny dzień na cmentarzu,
i takie jak warkocze złowróżbnej komety,
i takie jak źrenice namiętnej kobiety,
i takie jak lampka na ołtarzu.

Były tam tęczowe tulipany,
i rezedy zielonej poświaty miesiąca,

i płomieniste ljany
bez końca,
by jakiś polip krwawy
wysysający blaski z kwiatowych kielichów;
i białe lilje mistyczne,
i palmy
wybujałe wysoko, ascetyczne,
niby klasztorne rozełkane psalmy
wybladłych mnichów.
Były tam jakieś pozłociste kłosy,
i trawy
pełzające jak żywe rude włosy...

a nad tem wszystkiem wisiały mgły
niby potworne wieko wszechmogiły,
duszące mgły...
rozwlóczyły się po całej polanie,
i zwolna, nieubłaganie
ćmiły kwiatowe blaski, ćmiły, ćmiły...

i chociaż kwiaty miały światła łagodne jak łzy,
i płomieniste jak szały, —
żaden nie zdołał przebić mgły, co martwo cicha,
a jak upiory złych nocy dusząca,
zawisła nad polaną od skały do skały:

bo oto pośród kwiatów zabrakło kielicha
utkanego z promieni słońca.

PIEŚŃ

(FRAGMENT)

Głucha krawędź otchłani. Oćma i pustka śmiertelna.
Dzwonne śpiewanie nizin mrze w zachodniej jasności.

ONA

Śpiewają na nizinach... śpiewają...
O ludzkie pieśni!
Dźwięczą wami doliny i stoki gór,
Pola i lasy do wtóru wam grają,
A jesteście jako ptakowie leśni
I jako koników polnych chór...
O ludzkie pieśni!
Czasami wicher z dolin was przywiewa
Aż tu,
A wonczas niby obłąkana mewa
Wśród chmur,
Na roztoczach oceanu w nocy,
Opadacie bez siły i bez tchu
I konacie w niemocy...
O ludzkie pieśni
Konające na szczytach gór...
O pieśni!

STARZEC

Ktoś ty,
Która się zdajesz jutrznią, marzącą o piorunach?

Ktoś ty,
Która wyglądasz jak rozpłakana lutnia o złotych
strunach?
W oczach ci błyszczą łzy,
A głos twój śpiewa i drży,
Ktoś ty?
Oto ponad otchłanią siedzę w zadumie wiecznej
I patrzę w głębię:
Ponad nią widzę tylko blask słoneczny
Zasnuty mgłą;
Na jej krawędzi konają jastrzębie
I orłowie z przerażenia mrą...
Na tym przepastnym zrębie siedzę od lat wielu,
A oto nie widziałem nikogo i byłem sam...
A dzisiaj widzę ciebie...
Ktoś ty?
Dlaczego nie jesteś tam,
Tam, kędy rosną zboża złociste na glebie,
A dziewki plotą wieńce we słońcu a w weselu?

ONA

Dlaczego nie jestem tam
Na ziemi?
Starcze,
Ja pieśnią jestem,
A z nizin pieśń nie wzlata skrzydłami jasnemi
Do lazurowych bram...
Starcze,
Ja jestem ciszą,
A ciszę nizin mącą brzęczącym szelestem
Świerszcze, co się w kwiatowych kielichach kołyszą.

Więc nad otchłanią stoję:
Przepastny wiatr rozpina włosy moje
I gra na nich, i gra, i gra...
Że ona pieśń skrzydłami bije w zorze.
Ponad otchłanią stoję:
Nad nizinami leży szara mgła,
A moja pieśń nad mgłami hen, w przestworze
Łka...

ŻYWY RUCZAJ

Starzy króle śpią w parowie
Pod miesięcznej nocy mgłą,
A korony im na głowie
Jak tęczowe węże lśnią.

Czysty zdrój im stopy głaszcze,
W ręku świeci złoty kruż,
Rozpostarli krwawe płaszcze
Na gęstwinę dzikich róż.

Po kalinach chłód przewiewa,
Świeżość nocy bije w jar...
Starych piersi nie ogrzewa
Diamentowych koron żar.

Siedzą w jarze długie lata,
Aż zakrzepli w martwym śnie;
Powój berła im oplata,
Po koronach bluszcz się pnie...

Zapleśniało wino w krużach,
Blask przepychu dawno zgasł,
Tylko ruczaj świeci w różach
Niby lity słucki pas.

CMENTARZ

Kiedy się cisza z mrokiem zaplotą w uścisku,
Szare lelki-zmierzchnice bezszelestną zgrają
Na jednem opuszczonem dawno cmentarzysku
Ponad groby zapadłe jak widma latają...
Czasem skrzydło ich jaki krzyż pochyły muśnie,
Że stary krzyż się zbudzi, skrzypnie i znów uśnie.

Takie stare, drzemiące, pochylone krzyże
Zasnuły się wokoło oprzędzą pajęczą;
Dzień przędziwa te szare rozpłomienia tęczą,
A noc miesięczna na nie swoje rosy niże,
A te rosy perłami spadają na groby
Niby łzy nieobeschłe wieczystej żałoby.

Tam osika trwożliwie liściami trzepocze,
I powtarza za wiatrem swój pacierz żałosny;
Chwieją się rozczesane białych brzóz warkocze,
A płaczące żywicą pogarbione sosny
Rdzawe konary swoje podnoszą w niebiosy,
Jak człowiek, który w bólu targa dłonią włosy.

W dole u stóp cmentarza jar głęboki leży,
A na nim niekoszona trawa się kołysze,

I pod wiatrem tak zda się niby woda bieży,
Garnąc się bujną falą w blask słońca i w ciszę,
Że rozbujana taka i drżąca na jarze
Zdaje się płynąć w bezmiar i ginąć w bezmiarze.

Tam w górze opuszczone mogiły samotne
Śpią pod wielką cichością i wielką tęsknotą;
Nad niemi zgraje lelków kołyszą się lotne
I opary pustkowia w gałęziach się plotą,
A z pochylonych krzyżów wieczorną godziną
Rosy na pajęczynach zwisają i płyną.

Zaś w dole ona trawa, która w sobie płynie,
Gdy wielkie skrzydło wiatru o fale jej trąca,
Szeleści szmerem świerszczy w zielonej głębinie,
I jest jak dziwna rzeka, wieczyście się rwąca
Do głębin mórz tajemnych daleko, daleko,
Gdzie wrosłe w ziemię fale szmaragdami cieką.

ŻÓRAWIE

Nad puste ścierniska i ugory,
Nad pożółkłe lewady i jary
Odlatywały klucze żórawiane...

Długie, długie, rozwiane na bezmiary,
Obłąkane
Leciały po szarem niebie...

Przez mgłę bezdenną,
Nad nagie pola i bory,
W pustkę beznadziejnie jesienną

Odlatywały, nie patrząc poza siebie.

Sznury za sznurami, sznury za sznurami,
Hen, hen,
Leciały nad polami
Niknące,
Jak sen — jak sen. —

Pamiętam: życie mi zbiegło tak prawie,
Jak te żórawie we mgły odlatujące...

Jak te żórawie...

KRÓLEWICZ MAJ

Otwórz, dziewczę, ktoś cię woła:
To królewicz maj!
Pęki blasków ma u czoła
I porannych mgieł zawoje;
Otwórz, dziewczę, okno twoje —
To królewicz maj!

Patrz, gałęzią czeremchową
Puka w okno twe,
I kochania cudne słowo
Śle z jutrzenką do twej chaty...
Zbudź się, dziewczę — maj skrzydlaty
Puka w okno twe!

Czy nie słyszysz nic, dziewczyno?
Czy nie czujesz nic?
Pocałunków szmery płyną,
Jak piosenka wiosny pusta...
Czy ci we śnie nie drżą usta?
Czy nie czujesz nic?

Czy ci w piersi żar nie wstaje,
Nie przerywa snu?

Upojeniem szumią gaje,
Upojeniem ziemia płonie...
Czy ci krew bijąca w skronie
Nie przerywa snu?

Zbudź się cicha i pragnąca,
Niech nie czeka maj!
Z pocałunkiem złotym słońca,
Z pieśnią bujną niby wino,
Niech nie czeka maj — dziewczyno —
Niech nie czeka maj!

OTWÓRZ, JANKU!

Po szerokiem jasnem niebie
Wiatr poranny mgły przegania,
I sny moje, sny kochania,
Lecą z wiatrem w dal — do ciebie!

Jak motyli rój skrzydlaty
Przeleciały bór daleki,
Przeleciały góry, rzeki,
Zapukały do twej chaty:

Otwórz, Janku, drzwi dębowe,
Otwórz chatę twoją,
Sny kochania, sny tęczowe,
Ponad chatą twą się roją!

Lśnią w złocistym słońca pyle
Niby łzami, niby rosą,
I kochania tyle! tyle!
Do twej cichej chaty niosą!

Otwórz, Janku, wpuść tych gości,
Otwórz chatę twą odludną —
One niosą ci baśń cudną,
Rusałczaną baśń miłości!

Z tymi gośćmi idzie słońce,
Idzie wiosna w czeremch wianku,
Idzie życie bujne, wrzące,
Idzie miłość. — Otwórz, Janku!

PRZEZ WŁOSY TWOJE

Rozpleć, proszę, dziewczę moje,
Złotych włosów zwoje,
Niech na twarz mi się położą:
Jak słoneczne zdroje...

Niech na twarz mi się położą
Złotych blasków zorzą,
Niech przez włosy patrzę twoje
Na tę ziemię Bożą.

ŁZY

Patrz, kropelka srebrna, Janku,
Na tym czarnym bratku drży...
Myślisz, że to łzy poranku?
Nie... to, Janku — moje łzy.

Weź ten kwiatek! Co cię lęka?
Twarz ci blednie? głos twój drży?
Weź ten kwiatek! Drży ci ręka.
Patrz... strząsnąłeś z bratka łzy.

MENUET

«Margrabino, więc zawarty pakt?»
«Mości książę...» Piękna margrabina
Pod wytworny menueta takt
W wdzięcznym dygu przed księciem się zgina.

Wkrąg jej główki białe loki drżą,
Drobna rączka skubie rękawiczki,
Pod wachlarza leciutkiego mgłą
Różem kwitną śnieżyste policzki.

«Margrabino — pokochałem kwiat!»
«Mości książę, to miłość motyla...»
Lekko szemrzą barwne zwoje szat,
Wabny uśmiech koral ust rozchyla.

«Czasem motyl od rozkoszy mrze
U różanej kochanki kielicha...»
«Motyl? — buja po niebieskiem tle,
A kwiat po nim z tęsknoty usycha.»

Żarem płonie rozmarzona skroń,
Zdradny taniec kołysze i wabi —
Heljotropu unosi się woń
Z szeleszczących w przelocie jedwabi...

Pod wytworny menueta takt
Na zakręcie dłoń się z dłonią wiąże...
«Margrabino, więc zawarty pakt?»
«Pakt motyla z różą, mości książę?»

WSPOMNIENIA

Wszystkie uczucia, co przeszły przez dusze
Niby wężowy pochód i tęczowy:
I te co w świetnej dumy pióropusze
Rozsłonecznione przystrajały głowy,
I te co smętne szły i zadumane,
Patrząc na piersi swej otwartą ranę,

I te jak echa milknące pocichu,
I te owiane krwią, morem i głodem,
I te z trucizną w liljowym kielichu,
I te pachnące melisą i miodem —
Te wszystkie czucia, które wiatr rozmiata,
Wsiąkają w wielkie cmentarzysko świata.

I leżą one trupy zapomniane
Na piorunowych złotych błyskawicach,
Mgły wieczorowej całunem owiane,
W mórz rozhukanych szerokich trumnicach.
Leżą, a czasem błędnych cieni zgrają
Jako upiory do dusz powracają.

Jedne się z bagien o zmierzchu podnoszą,
W szarych wyziewach kłębami się wiją,

I z jakąś głuchą, zaciętą rozkoszą
Ostatnie blaski dnia zgasłego piją,
A z ócz, co patrzą w konające słońce,
Piją przesiąkłe blaskiem łzy gorące.

Inne powstają w słonecznych roztoczach,
I lecą ślepym, rozpętanym lotem,
W swych rudych włosów zwichrzonych warkoczach,
Jak ćmy potworne na powietrzu złotem,
A komu w żyłach młoda krew się pali,
To one wyssą krew i lecą dalej.

A jeszcze inne wędrują gromadą
Przez siana łężne i zbożowe snopy
I u nóg ludzkich nieśmiało się kładą,
Jak pies, co przywlókł się, i liże stopy,
I tak skulony, kornie u nóg leży,
Pytając wzrokiem: czy pan go uderzy?

KWIAT PAPROCI

Szłam do ciebie po miłość. Tak zbłąkany śmiałek
Idzie po kwiat bajeczny głębiną złych borów,
Choć wstrzymują go wabne ramiona rusałek
I wyją z ciemnej nocy gromady upiorów.

Przeżywa tyle cierpień i tyle przerażeń,
I słyszy w całym borze taki płacz pokutny,
Tyle krzyczy nań z mroku zawiedzionych marzeń,
Że kwiat szczęścia odnajdzie, zerwie —
i jest smutny.

ECHA

Sypiące się w jezioro wielkie krople deszczu
Tworzą koła rozlewne, rosnące na fali,
I mrące pod brzegami w bezustannym dreszczu,
Co się w chwiejnem sitowiu wiecznym
pluskiem żali.

Coraz to nowe krople na powierzchni dzwonią
Cichy pacierz przedśmiertny i nikną w głębinie.
Szereg kół nakształt echa wstrząsa drętwą tonią
I pod nowym szeregiem przygasa i ginie.

NOKTURN

Chciałabym zasnąć jak ona cicha
Lilja na fali,
Co senną wonią lekko oddycha
Pod mgławych niebios dzwonem z opali,
Liją, co jeno niebu się żali,
Że jej bladego dotknął kielicha
Tylko prąd fali...

I tak jak ona biała i drżąca
W słonecznem złocie
Marzyć o srebrnych blaskach miesiąca,
A w bujnych wichrów chwiejąc się locie,
O cichej fali marzyć pieszczocie,
Gdy modrą łuską o brzegi trąca
W słonecznem złocie...

Chciałabym upaść na fali łono
W noce samotne,
Gdy tonie w blaskach miesiąca płoną,
Drżeć zasłuchana w powiewy lotne,
Albo wpatrzona w nurty zawrotne
Ukochać gwiazdy, co w falach toną
W noce samotne...

ALEJĄ BZOW

Kiedy niebo lazurowe
Kryształową świeci głębią,
Tam, gdzie bujne bzy liljowe
Niby sina mgła się kłębią
Chciałabym ja iść...

Szłabym w słońca złotej toni,
W złotych pyłów zawierusze,
Słuchająca bzowej woni,
W bzów patrząca pióropusze,
W ich skłębioną kiść...

Wtedy mnieby się wydało,
Że słonecznych skier zawieje
Pochłonęły mnie już całą!
Że ja w bezmiar olbrzymieję
Pozłocistą mgłą,

Że już krążę w złotym pyle,
Że się wtapiam w woń i słońce,
Ginąc w woni, jak motyle
Oszalałe i mdlejące,
Co z rozkoszy mrą...

MARTWY STAW

Znam staw, gdzie w oczeretach świeci wody
szkliwie,
A na pobrzeżu rosną kępy ostrokrzewi,
Gdzie chwieją się warkocze posępnych modrzewi
I w mętną głąb rzucają sczerniałe igliwie.

Czasami promień słońca wybladły i chory
Zabłądzi między ciężkich oparów obłoki
I mrze, patrząc w topielne przepaście i mroki,
Skąd wychylają twarze posępne upiory.

ŚNIENIE

Czyś topił kiedy oczy w lazurowem niebie,
Gdy czar miesięczny płynie pośród pól
gwiaździstych?
Czy wielką falą blasku szło z błękitu w ciebie
Powietrzne zadumanie owych sfer przeczystych?

Czy znasz ten wielki smutek, co wieje
przestworzem?
Czy błękit skrył ci kiedy przed oczyma ziemię?
— Tak umęczony żóraw w przelocie nad morzem,
Na wietrze kładąc skrzydła, na chwilę zadrzemie.

W STARYM PARKU

W odwiecznym parku opuszczona
Mała sadzawka wiecznie śpi
I pleśń powleka ją zielona
Od długich dni...

Raz nad jej mętem długom stała,
Gdy w blasku dyszał cały park:
Rzekłbyś, że żyje, drży i pała
Od ech i skarg.

Wszystko rozkwita w blasku słońca,
Kwiat każdy śpiewa wonną pieśń,
A ta sadzawka stoi śpiąca,
Spowita w pleśń.

Rzuciłam kamień w toń zieloną
I kamień z pluskiem upadł w dół,
Rozdarłszy martwej rzęsy łono
Szeregiem kół.

Z pod rzęsy czarna głąb wyjrzała
I słońce na niej błysło skrą,
Aż znów ją zwarła pleśń zmartwiała
Zieloną rdzą.

Ale już odtąd sen odwieczny
Jaśniejszy będzie w łonie wód,
Bo fala wzięła blask słoneczny
Aż tam na spód.

JASKÓŁKA

Czarna jaskółka leci w dal
Nad głębią wodnych toni —
Czarna jaskółka leci w dal,
A cień jej śmigły pośród fal
Wciąż goni ją i goni...

Jaskółka płynie w cichy szlak
I widzi cień w głębinie —
Jaskółka płynie w cichy szlak,
I myśli, że to bratni ptak
Z nią razem w błękit płynie.

Lecz gdy już minie głębie fal,
I w słońcu skrzydłem świeci —
Lecz gdy już minie głębie fal,
Widzi, że sama leci w dal,
Że za nią nikt nie leci...

GWIAZDY SPADAJĄ

Gwiazdy spadają w dal jedna za drugą
Niby łzy nocy bezgłośne i senne,
A każda ciemność znaczy jasną smugą,
Co płynie za nią, jak echo promienne...

A gdzieś na pustej wykoszonej łące
Pod mgły wieczornej widmowym obłokiem
Białe narcyzy nikłe i więdnące
W gasnące gwiazdy patrzą bladem okiem.

OLŚNIENIA

Bywają dziwne, tajemne olśnienia,
Jak letnich nocy modre błyskawice,

Co się łagodnie i bezgłośnie palą
Ogromnie jasną, lazurową falą...

Bywają takie błękitne olśnienia
Ciche, jak letnich nocy błyskawice...

Gdy człowiek w ptaka Bożego się zmienia
I w nieskończoność zatapia źrenice,

Olśniony temi blaskami wielkiemi,
I tak jak one daleki od ziemi:

Nagle się w ptaka Bożego zamienia
I w nieskończoność zatapia źrenice,

Leci na bezmiar wielkiego milczenia,
Na niezgłębionych ukojeń krynice,

I w tej nieznanej, a ojczystej stronie
Przez jedną chwilę nieskończoność chłonie.

Bywają takie błękitne olśnienia,
Ciche — jak letnich nocy błyskawice.

W ZACHODZIE

Oto jesteśmy jako zbożny łan,
Co aż ku ziemi swoje kłosy gnie.
W wieczornym wietrze chadza po nim Pan,
Pali się tęczą w każdej rośnej łzie —
A gdy przed Panem drżą złociste kłosy,
To ziemia pije oną tęczę z rosy.

Oto jesteśmy jako zbożny łan
Pełen rozmodleń harfianych i drżeń,
Gwiaździstem kwieciem i kąkolem
W słońce patrzący cały długi dzień.—
Oto jesteśmy takim zbożnym łanem,
Co w ziemię rzuca łzy, płonące Panem.

ŚMIERĆ

Na jesiennych pól ugorze
Nocleżnicy ogień palą:
Czołgający płomyk rudy,
W jakiejś bróździe przyczajony,
W mgłach rozgorzeć się nie może,
Dymi jeno przez zagony;
A dym w rowach się przyczaja,
Na stwardniałe wpełza grudy
I znów schodzi w szpary brózd...
Aż gdzieś w dali u rozstaja
Wsiąka w ciemność szarą falą...

A po brózdach czarnych wszerz,
Przez ugorny drętwy ścierz
Śmierć wędruje do ogniska:
W długi całun szarych chust
Zakutała sobie głowę,
I wędruje, precz, wędruje...

Odżegnany dech tęsknicy
Po ugorach w ślad się snuje...
Czasem płomień mocniej błyska...
...Cicho siedzą nocleżnicy.—
Śmierć wędruje po ugorze

Zakutana w szare chusty,
Z wędrowniczym kijem w dłoni,
A zdrętwiały ugór pusty,
Gdzie się wzdyma mgła jak morze —
Ręce brózd wyciąga do Niej.

SPOWIEDŹ

Jesień słodyczą z niebios się uśmiecha,
Ogromnie jasna i ogromnie wielka,
I słucha letnich snów i szałów echa
Niby spowiedzi dziecka rodzicielka,
Co w swojej cichej i dobrej zadumie
Wszystko przebacza i wszystko rozumie.

Lato spowiada się jej wielkim płaczem,
Jak ten, co stracił swoją młodość całą
I oto wraca bezdomnym tułaczem
Z sercem rozbitem i piersią zmartwiałą
I do nóg matki łkający przypada,
A ta mu ręką gładzi czoło blada.

Skarży się matce jesieni w niedoli
Zeschniętem kwieciem jabłonek i trześni,
Ziarnami, które nie wyrosły z roli,
Niewyśpiewanym hymnem ptasich pieśni,
Gromami, które bić nie miały siły
I same w sobie swe żary gasiły;

Niezebranemi na ścierniskach plony,
Blaskami słońca zgasłemi w przestrzeni,

Całą tragedją potęgi straconej
Skarży się lato przebrzmiałe jesieni,
A jesień słucha w żałosnej zadumie:
Wszystko przebacza i wszystko rozumie.

PRZED MADONNĄ

Jest jeden cichy, wiejski kościółek ustronny,
Gdzie w ołtarzu Maryja w złocistej sukience
Skrzyżowała na piersi swoje ciemne ręce,
Zasłuchana w hymn ciszy wiecznie jednotonny...

Tam na ołtarzu stoi bez i jaśmin wonny,
Świetlane smugi kurzów kłębią się w jutrzence,
Przez okna napływają rozgwary ptaszęce,
A blask plecie słoneczną koronę Madonny.

Tam razem z gołębiami pod kościelnym dachem
Modlitwy dusz zmęczonych sennie się kołyszą,
Upajają się białych jaśminów zapachem,

Drżą owiane blaskami wielkiemi i ciszą,
I jak gołębie w locie zmartwiałe przestrachem,
Przed obrazem Maryi bezszelestne wiszą.

CISZA

Ginącą w dalekości topolową drogą,
Co cienie kolumn drzewnych rzuca na zagony,
Idzie w wiosennym zmierzchu mój duch umęczony,
Wlokąc skrzydła, co w słońce unieść go nie mogą...

Wierzchołki smukłych topól drżą owiane trwogą,
Gdy naprzeciw wychodzi z oddali omglonej
Cisza z wyciągniętemi przed siebie ramiony,
A wiatr kładzie się falą pod chłodną jej nogą...

Zmierzch rozlewa się mgłami w błękitnej
bezbrzeży,
Utulając rozchwiane po łąkach lilije,
I gdzieś na Anioł Pański biją dzwony z wieży...

A duch mój blade czoło smutnie w skrzydła kryje
I zda mu się, gdy w ciszy dźwięk na bezmiar bieży,
Że to godzinę w niebie zegar wieków bije.

MÓJ SEN

Na chwiejne morza kłosów i na polne kwiaty,
Na modre niezabudki i na jaskier dziki,
Na koniczyny miodne, łubiny i gryki,
Na lnów z lazuru nieba oderwane płaty;

Na długich miedz zbożowych szmaragdowe kraty,
Gdzie nucą piosnkę gwarną świerszcze i koniki,
Idzie mój duch — jak błędne moczarów ogniki,
Obłąkany choć jasny, ziemny choć skrzydlaty.

Na te łąki, owiane zapachami mięty;
Na te pola, stojące we wczesnej jutrzence;
Na lazurowej strugi wężowate skręty;

Na wielkie szumy borów, na pieśni ptaszęce,
Idzie mój duch, oddechem ziemi owionięty,
Z ukochaniem do świata wyciągając ręce.

BAGNO

W ostępach naszych borów są grząskie mokradła,
Gdzie w trzcinach płaczą czajki gromadą żałosną,
Gdzie tłumy poczerniałych oczeretów rosną,
I rudzieją błot mętnych umarłe zwierciadła.

Rzesza bezbarwnych kwiatów chora i wybladła
Wykwita na tych bagnach z każdą nową wiosną,
A kiedy gwary dzienne wśród gałęzi posną,
Krążą tam błędnych ogni świecące widziadła.

Raz upadł na tych bagien zdradziecką oponę,
Śmiertelnie umęczony polotem ptak szary
I podnosił na słońce oczy przerażone,

Bijąc rozpacznem skrzydłem trzciny i szuwary...
Aż go tak wpatrzonego w podobłoczną stronę
Zwolna wchłonęły w siebie bagienne moczary...

MNISZKA

Młoda mniszka w klasztornym rozkwieconym
sadzie
Pod ciepłą falę słońca odsłoniła głowę,
I rozkwitłych powoi pęki purpurowe
Niby kielichy ognia w krucze włosy kładzie.

Pręży młode ramiona w słonecznej spiekocie,
Odrzucając szerokie rękawy habitu,
I stoi pod gorącą kopułą błękitu,
Jak dziwny ptak, na słońcu skamieniały w locie.

Przez uchylone szyby gotyckich witraży
Spływają z głębi chóru głosy sióstr pokorne,
Zmieszane z wonią kwiatów co schną u ołtarzy...

A w sadzie, w bujnym gąszczu splątanych powoi,
Zwieszających kielichy za mury klasztorne,
Pod spiekotą słoneczną młoda mniszka stoi.

BAŚŃ O TRZECH SIOSTRACH

Posłał siostry trzy pan w babie lato na łan:
Która nici najwięcej umota,
Tej dostanie się korona złota —
Tej dostanie się korona złota.

Strój se godny ma zwić ta, co panią chce być:
Niechaj szatę z pajęczyn uszyje,
Jakiej oko nie znało niczyje —
Jakiej oko nie znało niczyje...

A jesienny był czas, i z wiatrami nad las,
By ze szatek anielskich len biały,
Pajęczyny we słońcu latały —
Pajęczyny we słońcu latały.

A świt modry już wszedł nad polami w mgle het,
Trzody z rykiem ciągnęły pod zorzę,
I żórawie leciały za morze —
I żórawie leciały za morze.

Więc najstarsza z trzech dziew siadła w cieniu
śród drzew,
Pajęczyny zbierała te siwe,

Co upadły na łąkę, na niwę —
Co upadły na łąkę, na niwę.

A weśrednia w ten czas szła na wygon pod las;
Obaczyła z fujarką pastucha,
Więc przysiadła opodal a słucha —
Więc przysiadła opodal a słucha.

A najmłodsza szła wkrąg wśród ugorów i łąk;
Obaczyła sznur długi żórawi,
Jak we słońcu jesiennem się pławi —
Jak we słońcu jesiennem się pławi.

Za ptakami tak szła po ugorach, by mgła,
Aż zjaśniała po sobie od słońca,
Za ptakami na wyraj lecąca —
Za ptakami na wyraj lecąca.

A gdy skończył się dzień i na pola zszedł cień,
Powracały trzy siostry do chaty,
Że to jedzie królewicz bogaty —
Że to jedzie królewicz bogaty.

Starsza przodem w dom szła, kłębek nici już ma,
Więc po drodze się cieszy i chlubi,
Że ją właśnie królewicz poślubi —
Że ją właśnie królewicz poślubi.

I weśrednia szła z nią; oczy żarem jej skrzą,
Nie zbierała z pastuchem pajęczyn,

Myśli jeno o dniu swych zaręczyn —
Myśli jeno o dniu swych zaręczyn.

A najmłodszej to wkrąg u korali i wstąg
Nitki lśnią, jak hałt słońca bogaty;
I tak wraca świecąca do chaty —
I tak wraca świecąca do chaty.

Pan przyjechał na dwór do rodziców trzech cór,
A że młodsza najpiękniej rozkwita,
Więc się do niej obraca i pyta —
Więc się do niej obraca i pyta:

«Takaś piękna, jak cud! słońcem świecisz od wrót!
Czyś pajęczyn zebrała już wiele?
Czy nam, kraśna, zagrają w kościele —
Czy nam, kraśna, zagrają w kościele?»

Lecz ta oczy w dal śle, ani słuchać go chce:
«Miałam zbliska to słońce złocone,
Schowaj, panie, twą złotą koronę —
Schowaj, panie, twą złotą koronę!»

Więc przed średnią pan wstał, złoty pierścień jej dał:
«Ty mi będziesz kochanką i żoną,
Kraśna dziewko, już tak ci sądzono —
Kraśna dziewko, już tak ci sądzono.»

Lecz ta, płonąc by mak, odpowiada mu tak:
«Niechaj siostra ci żoną ostanie,

Ja innego miłuję już, panie —
Ja innego miłuję już, panie.

Chcę w chałupie z nim żyć, z ust mu słodkość chcę pić:
On mi śpiewa za wsią na wygonie,
Pasający tam bydło a konie —
Pasający tam bydło a konie...»

Pan odwrócił swój wzrok i ku starszej szedł krok,
Lecz miał lica okrutnie zsępione,
Bo nie była urodna na żonę —
Bo nie była urodna na żonę.

Uśmiechnęła się doń i podała mu dłoń,
Kłębek ręką trzymała już drugą.
Żyli z sobą szczęśliwie i długo —
Żyli z sobą szczęśliwie i długo.

Z PANOPTICUM

W bambusowym chińskim kiosku,
Co barwami oczy wabi,
Siedzi strojna w zwój jedwabi
Uśmiechnięta Chinka z wosku.

Skośnem okiem równo mruga,
Krzywiąc szyję swą woskową,
A na drążku nad jej głową
Sennie buja się papuga.

Lalka trzyma wachlarz pawi
I woskowym swym urokiem
Przechodzące tłumy bawi,

A papuga, strosząc skrzydła,
Osowiałem patrzy okiem
W egzotyczne malowidła.

ŚWIATY

Parno. Ze stawu idzie rechot żabi
I pszczoły brzęczą z pobliskiej pasieki.
Na łące zżółkłej od słonecznej spieki
Rój kraśnych dziewek świeże siano grabi.

Od pola miodem pachnie złoty łubin,
I chór koników cichym szmerem gędzie
Na uroczystym radosnym obrzędzie
Ziemi i słońca ognistych zaślubin.

W powietrzu dyszy woń jak w kwietnej lipie!
A z niewidzianych klepsydr opył złoty
W jasnym błękicie sypie się i sypie...

Gwiazdy wygasłe w błękitnej roztoczy
Ku ziemi, drżącej z słonecznej pieszczoty,
Martwe i zimne obracają oczy.

ZE SŁOŃCEM

(SIELANKA)

Zatrzepotały liście brzóz,
Jako motyli rój —
Zatrzepotały liście brzóz:
To świt! to świt! to świt!

Ozwał się sosen głośny chór,
Odwiecznych dębów chór,
Starych modrzewi zwarty tłum
Poszumem nagłym podał wtór,
I spłynął szum, szeroki szum,
Przez nieprzejrzany, mroczny bór.
Gdzieś po wierzchołkach drzew się niósł,
Głębiną nieba zda się niósł,
Przelewał granie w kłębach chmur
I zolbrzymiały w bezmiar rósł.
Od paprociowych wiotkich kit,
Gdzie dziki jaskier gęsto kwitł,
Po dwuwiekowych dębów szczyt,
Rozkołysany hymn się niósł...
A potem nagle cichnął bór,
I tylko drżały liście brzóz:
To świt! to świt! to świt!

Czy to błądzą w jałowcach
Strzępy nocnej mgły?
Po wykrotach, manowcach,
Gdzie wilgotne mchy,
Przez leszczyny gąszcz młody
Owczarz pędzi swe trzody.

Owce idą gromadą
I do siebie się garną,
Mgły po bagnach się kładą,
Las otwiera głąb czarną —
Białych owiec drży stado.

Zmrok się tłucze wśród kaliny,
Między głogu krze,
Cień w paprociach leży siny,
Brzask, przesiany przez gęstwiny,
Wśród gałęzi mrze.

Owczarz trzody swoje goni,
Tchem szerokim pierś mu gra,
Tętna biją mu na skroni,
Wtórem sercu echo dzwoni,
Wtórem sercu pierzcha noc —
Dnieje!

W piersi taka moc —
Taka moc mu w piersi łka!
Hop! hop!
Obudził słońce!

Powstało krase z nocnych chmur,
Rzuciło blasków złoty snop,
Posłało ciepłych wiatrów gońce
W ten rozszumiały stary bór.
Hop! hop!
Obudził słońce!

Gdzieś zdaleka dzwonki dzwonią:
Białoruną nową trzodę,
Dziewka pędzi lnianowłosa.
Do stóp kosy rozczesała,
Jak dziewanna — złota cała,
Idzie świeża, smugła, bosa,
Aż puszyste sosny młode
Czuby swoje przed nią kłonią.
«By-waj!»

Ranka świeżą wonią
Głos przesiąka, w bór się niesie:
Zagadały echa śpiące,
Przyczajone w wilgnym lesie. —
— «Chodź na słońce! Chodź na słońce!» —

Stada zwarte, zapatrzone,
Idą cicho pośród drzew,
Czasem na nie jaki krzew
Sypnie krople roztrzęsione,
Czasem tryśnie ptasi śpiew.

Za prastarą boru głuszą
Jest sośniny młody gąszcz:
Wiechy sosen tam się puszą,
Macierzanka dno wyściela,
Polnych świerszczy gra kapela,
W locie błyska złoty chrząszcz.

Rozsypały się bezładnie
Między sosny i jałowce
Oniemiałe, siwe owce;
Blask się nagły na nie kładnie,
Kładą lotne cienie chmur...
— Granie dzwonów idzie w bór. —

I zachciało się dziewczynie
Kwiecistego wianka:
Po pas brodzi w ziół gęstwinie,
Śmiech jej świeży echem płynie
W mocnej ciszy ranka.

Brodzi w ziołach aż po pas,
Rwie kwiecisty snop,
Wśród dziewanny, wśród paproci,
Jak słoneczny kwiat się złoci
Dzikich traw i ziół żniwiarka.
Czasem krzyknie w ciemny las:
Hop! hop!

Rozpłakała się fujarka
I zawodzi w głos,

Roztęsknioną gra przyśpiewkę,
Co się niesie het, przez wrzos —
— Przywabiła graniem dziewkę.

Przez nagrzany biegnie mech,
W biegu jeszcze kwiaty rwie,
Za nią lecą kosy dwie,
Przed nią leci głośny śmiech,
Hop! hop!

Ziela wielki snop
Na owczarza trzęsie włosy
Z kwiatów lecą krople rosy...
...Aż fujarka ścichła wraz,
Jeno echem wtórzy las...
«Graj!»

Upalny wstaje dzień,
Słońce żarem sypie w mchy,
Czasem chmura rzuci cień,
Pył się złoty górą skrzy,
A sosnowych wiech igliwie
W blasku chwieje się leniwie
Od gorących ziemi tchnień.

Chór koników w trawie dzwoni,
Wonnym lepem kapią drzewa,
Czasem w chaszczach żar przewiewa,
Żar żywicznej, skwarnej woni.

Owce brodzą w morzu ziela
Między sosen rude pnie,
W ziołach brzęczy much kapela,
Moc południa w słońcu tchnie.

A zdaleka szumi bór,
I żywota pieśni młodej
Stuwiekowych ech rapsody
Rozszumiały niosą wtór.

POSPOLITOŚĆ

W ojczyźnie mej posępnej i mglistej wieczyście
Pospolitość się czai z za każdego węgła.
Chcę uciec od niej! Z wiatrem iść, jak suche liście,
Tam, kędy stopa ludzka jeszcze nie dosięgła!

Odnalazłam ustronie w czarodziejskim lesie,
Całe jak kwiat dziewiczy, dyszący płomieniem,
Gdzie krzyk palm oszalałych z ljan uścisku rwie się
Pod szafirów przestworza głębokiem sklepieniem!

Tu mnie już nie dosięgnie mej ojczyzny zmora!
Czuję niezmierną rozkosz każdej nowej chwili
Pod świątyni żywota dyszącemi stropy.

Nie! Z za drzew znowu słychać śmiech mego upiora,
Na zmiętej trawie błyszczy ślad człowieczej stopy...
Jakto! więc i tu ludzie już przede mną byli?

POEZJE

(1905)

Stachowi

A tę zabawkę najgorszą
Bóg synom człowieczym dał,
aby się nią trapili.

ECCLESIASTES

ŁÓDŹ MOJA

* * *

Niewcielonemi snami jam bogata,
A kiedy tworząc z mej skarbnicy czerpię,
To jak żniwiarka jestem w skwarze lata,
Co odblask słońca widzi w swoim sierpie.

ŁÓDŹ MOJA

Dr. Edwardowi Schuttowi

Łódź moja tak spokojnie fal błękity porze,
Kołysząc lasów brzeżnych topielne odbicia,
Że — płynąc — mam pod sobą odkletą w jeziorze
Całą królewską piękność ginącego życia.

Jarzębiny i kalin gąszcz o krwawych gronach
Purpurowe jagody otrząsa w sitowie;
Kraski modre migają w złotych drzew koronach,
Osypując skrzydłami więdnące listowie.

W górze południe smuży pyłami jasnemi,
Zatapiając świat cały słońca mgłą rozlewną,
A ja w naturze wkoło czuję duszę ziemi,
Nieznaną i tęskniącą i ludzkiej pokrewną.

Czuję ją w zwiędłych liści gorejącem złocie,
W mrących kwiatach nadbrzeżnych, wpatrzonych
w błękity,
W każdej chmurze wędrownej, w jeziorze odbitej,
W każdem echu gasnącem, w każdym fal
powrocie.

I ukojenie wielkie płynie mi od świata,
Co zamiera tak piękny w swej weselnej szacie,
Że mi się w jeden pierścień ciąg stworzenia splata,
I chcę do drzew i wiatrów i chmur wołać: bracie!

A śmierć zda mi się cieniem, który ciska życie,
Jak wielki ptak, lecący w słoneczne topiele,
Który skrzydłem pragnącem szybując w błękicie,
Czarne wędrowne widmo na niziny ściele.

Że dzieci, co się bawią na nagrzanym piasku,
Widząc żałobnych skrzydeł wędrujące żagle
W pogodnego południa płomienistym blasku,
Przerażone zastygną i przycichną nagle.

A ptak z oczu im niknie, stopiony w oddali,
I tam, w bezmiarze światła lśniąc, jak gwiazda
złota,
Kładzie skrzydła zmęczone na powietrznej fali
I kąpie się w słonecznej krynicy żywota...

SKRZYDŁA

Gdy się zapatrzę w zstępującym mroku
Na pola puste i w sen rozpłynięte,
To mi się rodzi w rozmodlonem oku
Wejrzenie inne, w bezmiarze poczęte.

Jako błyskawic poświata daleka
Światło mi płynie przez obszar ugorny,
Co zagonami smużnemi ucieka
W rozokolony krajobraz wieczorny.

I wiem, że skrzydła są duchom potrzebne,
Ale nie skrzydła rybitw, ni sokołów,
A feniksowe, rozwarte, nadniebne —
Co nieśmiertelnie powstają z popiołów.

Nie chcę, by pióra z ramion mi wyrosły,
Jako niebieskim ptakom — z Bożej łaski —
Bym jako wiosny rozkochane posły
Leciała w wonne południowe blaski:

Bo wiem, że tylko skrzydła, co się rodzą
Z przepalonego na popioły ducha,
Ludzkie tęsknoty w nieśmiertelność wodzą,
Gdzie dal niebieska ich lamentu słucha.

Z niezamąconej, beznadziejnej głuszy
Tylko feniksa lot mię wyrwać może —
Więc o kruszący piorun dla mej duszy
Modlę się w smętnym, szerokim wieczorze.

WCIELENIE

Duch jeden dobry zawsze jest nade mną,
Gdy chcę w kształt wcielić jasne wizje moje;
I jakąś radę mi szepce tajemną,
Przed którą drżąca i niepewna stoję.

A kiedy wreszcie oblecze się w ciało
To, co mi było najdroższem pragnieniem —
On się uśmiecha swoją ciszą białą
I w mroczną pustkę rozpływa się cieniem.

A ja zostaję, i widzę to dzieło
Takie niebieskie wspomnieniem i święte,
Co się w głębinach mej duszy poczęło,
A teraz dźwięczy w wyrazach zaklęte;

I słyszę tylko słowa, szmerne w głuszy
Jako fontanna, płacząca w marmurze —
I chcę napróżno znaleźć głos mej duszy
W ich monotonnym, rozpłakanym chórze.

Zniknął duch dobry ze swą radą jasną,
A tu dźwięk każdy jego ciszy przeczy.
Wyłkane z piersi sny — jak iskry — gasną
Przed wiecznym smutkiem dokonanych rzeczy.

CUD-KRÓLEWNA

CUD-KRÓLEWNA

Cud-królewna złotowłosa,
piękna jak zorza,
Siedzi w słońcu na tarasach
nad brzegiem morza.

Włosów swoich zwój grający,
warkocz harfiany,
Opuściła na topiele,
na srebrne piany.

I tak siedzi zasłuchana
w słoneczną ciszę,
A warkocze jej grające
fala kołysze.

Modre oczy cud-królewny,
dwa boże gońce,
Wyleciały na niebiosa,
na złote słońce!

Wyleciały, jak orlice,
śmiałemi loty,
Utonęły w tarczy słońca,
w jasności złotej!

Biały żagiel — skrzydło śnieżne —
błysnął w oddali:
Łódź rybacza mknęła chyżo
po modrej fali.

Szybowała z ciepłym wiatrem,
jak lotna mewa,
Do królewny, której warkocz
na fali śpiewa.

I zapytał młody rybak
ze swojej łodzi:
«Ktoś ty, pani, zadumana
w słońca powodzi?

«Ktoś ty, pani, krasą lica
podobna róży,
«Która, patrząc w oko słońca,
płatków nie mruży?

«Otom rozwiał na wsze wiatry
żagle tęskniące,
«Szukający oczu jasnych,
wpatrzonych w słońce!

«Umęczone moje żagle
i serce moje...
«Zaż przy twoich stopach, pani,
tęskność ukoję?»

Cud-królewna z swego brzegu
odrzekła smutnie,
A głos dzwonił nad wodami,
jak złote lutnie:

«Nie rozumiem ciebie, panie,
ciemne twe słowa!
«Noc wieczysta lice twoje
przede mną chowa.

«Mrok tajemnic mię otacza,
groza bez końca:
«Tęsknię jeno a wyglądam —
nie widzę słońca!

«Ślepe oczy ślę na błękit
skargą daremną,
«A szumiące wielkie morze
płacze nade mną.»

I powracał na głębiny
żagiel — ptak biały —
A warkocze cud-królewny
na falach grały.

SZKLANA GÓRA

Marzy mi się wyspa na jeziorze:
Na dalekiem, szumiącem jeziorze,
Gdzie u brzegów senne fale mrą.
W zwierciadlane ramy wód ujęta,
Złotą ciszą od świata odklęta,
Porośnięta cała maków krwią.

Purpurowy kwietny łan się chyli,
Na nim stada żałobnych motyli —
Zatracony, oszalały rój —
A dokoła tafla wód szumiąca
Odzwierciadla złoty pożar słońca,
Lub kołysze chmur skłębiony zwój.

Ponad maków dyszącą czerwienią
Szklanej góry kryształy się mienią,
Szklanej góry lśniący świeci zrąb:
W zwierciadlane tafle wód ujęta,
Złotą ciszą od świata odklęta,
Strzela szczytem w modrą nieba głąb.

Zamek cudu tęczą na niej świeci —
Czarodziejski złoty sen stuleci,
Gdzie pod niebem śni królewna cud. —

Promień słońca w oknie zamku przędzie
I pieśń rzuca na wyspy krawędzie,
Na dalekie, szumne głębie wód.

Promień słońca na złotej kądzieli
Raz w raz skrami pod jej ręką strzeli,
Raz w raz ptakiem się poderwie pieśń;
W smutnych oczach łzawy blask migota,
Ptakiem z piersi zrywa się tęsknota
Za uroczą szklanych komnat cieśń.

Krwawo gaśnie niebo na zachodzie,
Żar się złoty płomieni na wodzie:
W szklanej górze miljon świeci słońc!
W złotem oknie królewna się słania,
Śpiewająca wieczny hymn kochania,
Nieprześnione swe zaklęcie śniąc.

PIEŚŃ

Jam jest zaklęta królewna
Na szklanej górze.

Włosy mam szczerozłote,
Z ust sypią mi się róże
I perel biały grad.
Gdy warkocz mój rozplotę
We słońcu staje świat,
Jam róż pąkowych krewna,
Zaklętych snów królewna,
Marzenie dusz.

U moich białych stóp
Bohaterowie giną,
By posiąść mnie...
I piękny mają grób
W morzu, co szumi u mych stóp
Topielą siną.

Wśród księżycowych nocy
Patrzę z marmurów krużganka
Na morze...
I śnię,
Wsłuchana w wodną ciszę,

Zali na wód przestworze
Słowa zaklęcia nie posłyszę,
Rycerza cudu nie obaczę —
Mego kochanka!

Lecz cisza wkoło, sen, pustkowie...
Więc na mej szklanej górze
Płaczę.

W koronie złotych skier na głowie,
W królewskiej dumy mej purpurze
Czekam na mojej szklanej górze
I płaczę.

O, płyńcie łzy,
Tęczowe me klejnoty!
I tęsknoty
I sny...

O płyńcie!
Na ziemi, czy na gwiazdach,
czy w bezkońcach,
Na spadających słońcach,
Szukajcie mego kochanka!
Jeśli jest nędzny i nagi,
Oddam mu moją królewską purpurę,
Łez moich perły i rubiny krwi!
Jeśli niemocny, dam mu władny grom!
Jeśli bezdomny, w mem sercu znajdzie dom!

Posiędzie we mnie wiecznej mocy zdrój
Kochanek mój!

A kiedy go upoi
Woń włosów mych i snów,
Gdy czary go oplotą,
Spocznie na piersi mojej,
A dusza jego cała
Spłynie pieszczotą
Słów:

«O biała,
Jakaś ty ładna!
Jak mię poisz
Twoich włosów wonią!
Jak mię koisz!

O ładna!
Jesteś mi białą gołębicą,
Co mi oczy skrzydłami ocienia
Od łun płomienia!

O moja!
Cięży mi brzeszczot hartowny i zbroja,
Gdy na twej piersi spocznę...
Sny złote krążą pod przyłbicą...
Kołyszą słodko twe oczy uroczne,
Jak głąb przejrzystego zdroja...

O moja!»

A gdy tak mówić będzie mój pan —
mój rab — mój lew —
Pęk piorunów rzucę mu w krew,
Pęk piorunów roztoczę nad skronią
Ja —
Władna — !

MARUNA

Królewna Maruna perły nizała
Na długą nić:
W zamkowej komnacie smutna i biała
Królewna Maruna...

Przeczuciem żałobnem skroś komnat sunie
Jesienny zmierzch...
Rozsnuły się perły smutnej Marunie
Przeczuciem żałobnem...

Na marmur posadzki broczy z witraży
Zachodu krew;
Marunie łzy wielkie zbiegły po twarzy
Na marmur posadzki...

Królewna Maruna za bram krawędzie
Tęsknotę śle:
Złociste ornaty łzami szyć będzie
Królewna Maruna...

KRYSTA

Krysta Śmiałemu swą miłość powiada:

W proporców szumie szedłeś. Bramy grodu
Przed twym orszakiem naścież się otwarły,
A ja, przebiwszy wielki tłum narodu,
Widząc, że idziesz, jak anioł umarły,
W krwawo gasnącą słoneczną pożogę,
Klękłam, włosami zamiótłszy ci drogę.

Tyś spojrzał, panie! a twoje źrenice
Były, jak w locie drapieżne jastrzębie!
A takie chybkie, jak dwie błyskawice,
Co upadają we wodę, na głębie,
I dreszczem gromu przelecą pod falą,
Aż w złotą skałkę piasek dna przepalą.

Odtąd już byłam twoją. W domu męża,
Przędąc len biały z dziewkami w świetlicy,
Słyszałam chrzęsty rycerne oręża,
Koronę złotą nakształt błyskawicy,
I konia, który szedł pod tobą w pysze,
Patrząc, jak bojaźń tłumami kołysze.

A serce miałam niespokojne w łonie,
Skroś przepalone twoich oczu gromem:

Jedna skra jeszcze — a w pożar rozpłonie;
W pożar, co później powstał ponad domem
I wstrząsnął ściany zmurszałe i węgły,
Że się zachwiały w ogniu i rozprzęgły.

Lecz zanim dom nasz u stóp twoich runął,
Przeżyłam takich dni i nocy wiele,
Kiedy kruk, zda się, w komnatę wefrunął
I swoje pióra przed oczy mi ściele,
A w onej czerni piór wieczystą zmorą
Dwa żużle oczu twych — jak piekło gorą.

Nieraz, bywało, zaciskam powieki,
Na oczach ręce rozpalone kładnę!
Lecz te dwa złote gorejące ćwieki
Umiłowane, królewskie i władne
Wszystko przebiją i wszystko przemogą
I palą serce miłością i trwogą.

A kiedy rankiem powstaję z łożnicy,
To w chusty kryję moją twarz wybladłą,
Żeby nie zdradzić złych snów tajemnicy:
Żeby łez kilka tajonych nie padło
Na męża złoty pas. By nie zdradziły
Łzy, czego skrywać już — nie miałam siły.

Lecz, chociam walczyć nie mogła z kochaniem,
Gdy się wpatrzyłam w mężowe oblicze,
To powiadałam: tak chyba-ć ostaniem!
Takie w źrenicach miał skry tajemnicze

I takie straszne wpatrzenie się we mnie!
Przepomnieć chciałam o wszystkiem—daremnie.

Raz — mąż był właśnie wyruszył na łowy —
Wybiegłam z domu tęsknicą szalona
W pszczółmi brzęczący wonny sad lipowy.
Stuletnią lipę objęłam w ramiona
I z szlochem wielkim tuliłam się do niej:
Niech koi brzękiem swoich pszczół! niech broni!

Nie wiem, jak długie płakałam godziny,
A sad brzęczeniem mię koił miodowem,
Gdy ktoś się cicho wysunął z gęstwiny
I powitawszy mię jedynem słowem:
Król! — do nóg skrzynkę porzucił mi złotą
I znikł, gdzie murem dzikie krze się plotą.

I osypały się z skrzynki na trawę
Urjańskie wielkie perły białym gradem,
Rubiny ciemne, złowrogie i krwawe,
Szmaragdy jagód świetnych winogradem,
Przepasek złotych połyskliwe żmije,
Którym ze źrenic blask brylantów bije.

Zdały się pełzać mi do nóg te węże,
Rozmaitemi ogniami grające;
A mnie się w piersi żar pragnienia lęże,
Gdy — u nóg mając brylantowe słońce —
Śnię, że to twoich oczu błyskawice
Ogniem brylantów mi palą źrenice.

I przystroiłam się cała w klejnoty,
W wisiory pereł ciężkie i w łańcuchy,
Aż ze świecideł szedł za mną brzęk złoty...
A lipy na mnie sypały swe puchy...
I tak wracałam powoli, w zadumie,
W brzęku świecideł i w starych lip szumie.

Nikogo na on czas nie było doma.
Dziewki służebne jeno po komnatach
I moja stara macierz niewidoma,
Przędąca kądziel w świetlicy. Po latach
Pamiętać będę jeszcze tę godzinę,
Gdy tak we złocie szłam w progi matczyne.

Cicho u okna siedziała z kądzielą,
A całe w słońcu wiło się przędziwo.
Pod lnianych rąbków nieskalaną bielą
Zdaleka głowę jej poznałam siwą,
I ślepych oczu wzrok — dziwnie daleki,
Z pod koralowej idący powieki.

Z wrzeciona snuta nić w pożarze słońca
Cała promienna zdała się i złota.
Rzekłbyś z pod chudych, białych rąk, bez końca
Promień słoneczny wijąc się migota,
A ona siedzi sztywna taka, biała,
Jakoby dziwna mara — już bez ciała.

Snadź usłyszała krok i złote brzęki,
Bo nagle przędza jej pękła. Bez słowa,

Spojrzeniem jeno i skinieniem ręki
Zdała się pytać:— «Kto?» — «Matko — królowa!»
I w wyrzeczonych słów dławiącej męce
Padłam całować jej stopy i ręce.

Nic mi nie rzekła. Lecz na włosy moje
Spuściła cicho swe dłonie bolesne,
Swoich trzęsących się, biednych rąk dwoje!
A żadne słowo dzielące, przedwczesne,
Z ust jej nie wyszło. Długo trwała w ciszy,
A mnie się zdało, że mą duszę słyszy.

I — ciągle milcząc — schyliła się do mnie,
I pocałunkiem podniosła mię z ziemi...
Snadź zrozumiała wszystko — tak ogromnie,
Że nie raniła słowami próżnemi.
I nagle — padła mi na pierś z rozpaczą,
Płacząc, jak tylko ślepe matki płaczą.

Tej samej nocy, panie, byłam twoją...
— — — — — — — — — —

ARABESKI

PRZEDWIOŚNIE

Nad obudzonej ziemi łonem
Dzwon bije głośno, bezustannie:
W powietrzu wiosną zbłękitnionem
Anioł zwiastował Marji Pannie!

W jasności cichej i radosnej
Topi się złotych wierzb pąkowie;
Pod lasem chodzą aniołowie,
Szukając pierwszych kwiatów wiosny.

Ponad zruszoną ziemią płynie
Odkupiający zwid Kalwarji...
W cudu dziewiczych snów godzinie
Anioł zwiastował Pannie Marji.

PALMOWA

Trzykroć szablicą cięta, w gwiezdnej aureoli,
Duma cicha twarz Marji na złotym obrazie,
Ciemna jak świeża skiba rozoranej roli.

Przed nią las ziół przyleśnych i wiosenne bazie:
Palmy kwietnie. (Takiemi Jej Syna przed męką
Witał lud Jeruzalem w radosnej ekstazie.)

Co wiosna, z drzew zbudzonych zbożną rwane ręką,
Święcą przed Nią te dawne, boleściwe palmy.
Co wiosna płyną ku Niej radosną podzięką

Korne, męki Jej Syna czekające psalmy.

W PASIECE

Liszki swe jamy mają w pieczy,
I mają gniazda swe ptakowie,
A oto nie ma Syn Człowieczy
Miejsca spoczynku swojej głowie.

W wonnej pasiece, na pola otwartej,
Owity w wianki i wiązanki zielne,
Z starego krzyża Chrystus wpół-zatarty
Patrzy od wieka na wyroje pszczelne.

Patrzy na ulów wyzłacane rzędy,
Na pszczoły gwarne wśród słońca i woni;
I w pstrego ziela migotliwe grzędy
Zmęczoną głowę do spoczynku kłoni.

REZUREKCJA

Gaj wysmukłych cyprysów i głuchy śpiew z chóru,
Laury ciemne i lampy, płonące za kratą:
W grobie leży złocistą okryty makatą
Blady posąg Chrystusa z białego marmuru.

Wizja wielkiego ołtarza w świecach jarzących
i w złocie,
W dymy błękitnych kadzideł złota monstrancja
spowita
I tłum żarliwy, zwarty, w wyczekującej tęsknocie,
W ciemnej nawie kościelnej, jak falujący łan żyta.

Nagły wybuch organów i dzwonów z wieży
kościelnej
I grom zbudzonej pieśni: wstający hymn Alleluja!
Z tysiącznych piersi wyrwany wznosi się,
łka nieśmiertelny,
Łopoce świec płomieniami, we mgłach
kadzielnych się buja.

Zmartwychwstającym gromem rozwiał ulotne
kadzidła,
Rozpiera mury kościelne, drży w arkad
sklepionych stropie:
Zda się kościół się zerwał, rozwinął tysiączne skrzydła
I płynie głębią niebieską w złotych błyskawic potopie.

JUR

Na tle krwawiącem zachodniej pożogi,
Mając za sobą łan zbożowy senny,
Stoi wśród polnej opuszczonej drogi
Nawpół zwalony święty Jur kamienny.

W sczerniałej, starej, mchem zarosłej zbroi,
Z obłamkiem dłoni sterczącej bezwładnie,
Ofiarnem widmem w krwawej łunie stoi,
Gdy wkrąg po łanach zmierzchu śnieć się kładnie.

W zmierzch patrzy święty pustemi oczyma
I utrąconą swą ręką zwycięską
Zda się powałę zórz płonących trzyma,
Broniąc okolne wsie przed ognia klęską.

FONTANNA

Pod mojem oknem pluszcze kroplista fontanna
W jesiennym, pełnym złota i purpury sadzie;
A kolumna jej śpiewna, wzlatująca, szklanna —
Tęcze pieszczot słonecznych na marmury kładzie.

Tęsknicę swą za słońcem strzelistą i wieczną
Śpiewa pod mojem oknem w szarych dniach
jesiennych.
Przeczuwaną w snach czasem dobrą wieść
słoneczną
O błękitnych roztopów oddalach promiennych.

I choć mię od niej dzieli cała dal żywota,
Choć mi gwar głosów ludzkich jej szemranie
głuszy,
Słyszę ją zawsze, ciągle — zda się w mojej duszy
Rwie się wzwyż i, spadając, łka — moja tęsknota.

OBŁĄKANA

Obłąkana chodziła dziewczyna
W rozszumiały bór nocą miesięczną:
Gdzie najbujniej podszyta gęstwina
Obłąkana chodziła dziewczyna...

Aż do leśnej krynicy samotnej —
Z konwią w ręku — przez dzikie ostępy
Przedzierała się w chaszczy wilgotnej —
Aż do leśnej krynicy samotnej...

I łapała odbicie miesiąca
Konwią swoją z bieżącej krynicy;
Ponad wodą chyliła się drżąca
I łapała... odbicie miesiąca...

PAJĄK

Suchotnicze blade ręce
Na błękitnem tle posłania:
Długie, śpiewne, roztęsknione
W zastygania cichej męce.

Kwiaty jakieś zapomniane
Cicho więdną w swym wazonie,
Rozsiewając wkoło wonie
Melancholji i kadzidła...

Poprzez okno słońce złote
Wpada pylną zawieruchą,
I na bladem, chłodnem czole
Kładnie lekką swą pieszczotę.

A w słoneczną kurzu smugę
Właśnie spuścił się z powały
Krotochwilny pająk mały —
I na przędzy swej się buja...

BRAT JAN

Wcześnie wyszedł dziś do sadu z celi
brat Jan.

W sianem przez liście zórz zielonem świetle
stał sad klasztorny, w bieli
porannych ros.
W okiści mgieł przyziemnych puszyły się mietle
i budził się pstrych ziółek wonny łan.

Brat Jan miał ciszę w sercu i modlił się w głos:
«Oto cię, Panie, sławi wszechstworzenia chór—
ptak każdy pieśnią — każdy kwiat w rozkwicie
modli się tobie wonią —
i żywie każdy stwór
pod Twoją dłonią;
— ja myśli Twej, o Panie, święcę całe życie,
i mądrość Twoją wielbię, i Twą moc,
o Panie.

Oto pierzcha z Twej woli krótka letnia noc
i słońce wstanie:
czekają Twego słońca bujne kiście ziół,
czekają Twego słońca rozbudzone ptaki,
i złote roje
pszczół,
ażeby z kwiatów zbierać miód na Twoją chwałę
i wosk na świece twoje —

i wielbi dobroć Twoją stwór wszelaki...
Ja myśli Twej, o Panie, święcę życie całe.

I dzięki składam Tobie, żeś mi pojąć dał
dzieła Twego skończenie ogromne i czyste,
żeś mi dał precz odegnać zgubny świata szał.
Dzięki Ci składam, Chryste.»

Z klasztoru dobiegł czysty sygnaturki dźwięk
i niósł się w sadu ciszy.
Brat Jan ze śnieżnej grzędy zerwał lilji pęk
i szedł na ranne pacierze...

Po drodze długi szereg mniszy
pozdrawiał go imieniem Chrysta;
za progiem
z ołtarza Marji patrzała nań Przeczysta,
ciemna jak świeżo zaorany łan.
Brat Jan
na ołtarzu postawił lilije,
a duszę mu jasnością zalało przymierze
z bracią i z Bogiem.

Z ogrodu płynie woń akacji
i rośnych ziół,
chór stary drży od suplikacji,
z starych organów rozjęk bije —
smugami płynie dym kadzielny,
otęczą barwnych mgieł się wije
wkrąg świętych czół...

Z ogrodu płynie woń akacji,
chór stary drży od suplikacji:
o Święty! Mocny! Nieśmiertelny!

Po modlitwach brat Jan w złote rano
do swoich biednych szedł z świętej klasztoru ciszy
w wielkiego miasta gwar.
Pod ścianą
stała dziewka w rudych włosów warkoczach,
wabny dokoła ciskająca czar,
z gwiazdami w oczach.

(Rybaczka żądz, sny ludzkie w sieć warkoczy
łowi.)

Z litością patrzył brat Jan na zbłąkaną:
azali
do nóg mu nie upadnie, jak niegdyś Mistrzowi
jawnogrzesznica?
zali z jej ust nagłego szlochu nie posłyszy?
zali jej srom rumieńcem nie spłomieni lica?

Czekał, a dziewka iskrami złotemi
w jednem wejrzeniu sypnęła nań z oczu
i... uśmiechnęła się.
Brat Jan poszedł dalej.

Gdy wrócił do klasztoru było już południe skwarne,

pełne w sobie żywota spiekoty i drżeń:
miłością kwiatów wonne, pszczół rojeniem gwarne.

W żarach opyłem sypał zielny łan —
godzina złotych szałów i upojeń ziemi
biła w przezroczu. —

Dłużej niźli zazwyczaj modlił się brat Jan
w on letni dzień...

WIERSZE ROŻNE

GRA CHMUR

O baśnie białych królewien wśród chmur
Nad zwałem śnieżnych gór:
Rycerzy złotych prześwietlone zbroje,
Łabędzi długi obłąkany sznur!
O baśnie słońca, o własne sny moje
Nad zwałem śnieżnych gór!...

Patrz, dwoje: widzisz ich dwoje!
Słoneczny rycerz skrzydlaty
I jego biała królewna...
Rozkwitli w słońcu jak kwiaty,
Spletli się niby powoje;
Toń ich ponosi rozlewna,
Słońce prześwietla ich szaty —
Patrz, płynie rycerz skrzydlaty
I jego biała królewna
W zachodu złote podwoje...

Czego się zwracasz, królewno?
Czego tak patrzysz za siebie?
Wyciągasz białe ramiona
Po jasnem niebie,
Wyciągasz śpiewne twe ręce
Niby zlękniona... stęskniona...

Szloch wiatru tobą kolebie,
Zrywasz się w bólu i męce...
Czego ty patrzysz za siebie?
Czego ty szukasz, królewno!

Zerwałaś bajkę miłosną:
Wyciągasz dłonie w tęsknocie,
Dłonie we skrzydła ci rosną —
Już łabędź biały — już w locie —
Za czem? — Za snem?
Za zgasłej jutrzni snem?
Królewno — łabędziu biały,
Wiem, wiem:
Sny już się dawno rozwiały,
Prześnione jasne dnia dziwo...
Wróć się, królewno! wróć
Słoneczną miłość snuć
I konać śmiercią szczęśliwą...

Patrz, jasny rycerz twój
Na prześwietlonej łodzi
Ginie w słonecznej powodzi:
Blask go otacza dokoła,
Światła go niesie zdrój,
Już w słońcu ginie łódź,
A on cię jeszcze woła:
Wróć! wróć!

Otchłań błękitu was dzieli,
Otchłań bezdennej topieli;

Noc już się czai po niebie,
Mgieł sidła jęła snuć —
Dłonie wyciąga do ciebie —
Wróć! wróć!

O, baśnie białych królewien wśród chmur
Nad zwałem śnieżnych gór!
Grody ogniste słonecznych zachodów,
Aniołów blady skamieniały chór,
Pożary złote na podścieli lodów,
Bitwy słoneczne powietrznych narodów,
Snów moich własnych rozbujały sznur
Nad zwałem śnieżnych gór...

UPIÓR

Le revenant est seul...

(HELLO)

Patrzą na ciebie okna domu twego,
Patrzą jak oczy rozgorzałe w cieniu.
Żółte promienie na sad od nich biegą...
Ledwie dostrzegasz w źrenic obramieniu
Dwie pochylone sylwety kobiece:
Ktoś w głębi domu gra... płonące świece...

Gra. Słyszysz skrzypce? Muzyka tęskniąca
Szlocha i z szmerem fontanny się łączy;
Woń nocnych kwiatów falami roztrąca,
A w twoją duszę dziwną słodycz sączy.
Dobrze ci: smętna skrzypcowa muzyka
Wiąże cię z życiem i w wieczność przenika.

A oczy domu wciąż patrzą na ciebie:
Życie się patrzy z tych wślepionych oczu!
Czuwa — nie wrócisz! Wiatr sadem kolebie,
Puszczyk niekiedy zahuka w pomroczu.
I szum — jakgdyby z pod gęstych konarów
Wracał świat dziecka odżegnanych czarów.

Słysz! struna pękła. Psa urwane wycie...
Cicho... ktoś przeszedł. Okna zwolna gasną.
Zasnęło czujne pogwałcone życie.
Księżyc zalewa ogród falą jasną.
Wróć! nie zaskrzypi próg... nie spotkasz ludzi...
Skrzypce nie westchną... życie się nie zbudzi.

Wróć! Widzisz stare, znajome pokoje!
Zegar uderzył: raz! i znów, jak w trumnie.
Patrz — biurko — noce nieprzespane twoje...
Nowe jest tylko, widzisz, na kolumnie
Twoje popiersie, rzeźbione w marmurze:
Stoi w księżycu białe, zimne, duże...

Twoja twarz. Stajesz i patrzysz w zadumie
Długo na uśmiech marmurowej twarzy,
Twój uśmiech. Wraca w dawnych wspomnień
tłumie —
Ostatni — pomnisz? A z nocnych witraży
Pada na marmur miesięczna poświata,
Że i on zda się być nie z tego świata.

Patrzycie w siebie długo nieskończenie
Z jednym, choć różnej tęsknoty uśmiechem...
W powietrzu słychać prawie to spojrzenie...
Słyszysz! krzyżuje się — przeczucie — z echem —
Dwie złudy. W cichej miesięcznej jasności
Patrzycie w siebie — w głąb nieskończoności.

RUINY

P. Marji Ochenkowskiej

Lipcowego południa polne zamyślenie:
Powietrze szafirowe, drgające spiekotą,
Po polach żółciejące bujnych zbóż kiścienie
I łubinów rozkwitłych gorejące złoto.

Od różowych koniczyn wiatry idą słodkie,
W pszczelnych migotach brzęczą białe pasy gryki,
Słania się łanem szumnym kłosie żyta wiotkie
Wśród bezustannej, dzwonnej, świerszczowej muzyki.

Zda się jakieś słoneczne, płomieniste święto
Twórczem weselem ziemię kwitnącą okala.
Barwne przydroża dyszą tymianem i miętą,
Po łąkach traw nagrzanych przelewa się fala.

A tam wysoko nad kwitnącą ziemią
Białe ruiny cicho w słońcu drzemią,
I niby żagle śnieżne i tęskniące
Świecą, wieczyście zapatrzone w słońce.

Odwieczny klasztor, co się wali w gruz:
Cele na błękit ruiną rozwarte;
Widma, wdrzewione w pnie płaczących brzóz,
Nad mogiłami odprawują wartę...

I cicha wielkość przeminionych dni
Na rudych szczyrach i dziewannach śni,
I głowy świętych stroi kurzów tęczą
W chórze, gdzie echa jak organy jęczą.

Pośród zwalonych, długich korytarzy,
Gdzie się sznur mniszek w cieniu murów snuł
Jak fresk tajemny zaświatowych twarzy,
Dziś buja gęstwa naniesionych ziół.

Śród popękanych, sypiących się głazów,
Syczących pieśnią modlitewnych ech —
Płynie upojny, południowy dech
Piołunów gorzkich, tymianu i ślazów.

A słońce z góry jak monstrancja złota
W zbitych witrażach tęczami migota.

ŻNIWA

O praco zbiorów! O dnia złoty wichrze!
Kurzów słonecznych prześwietlone smugi,
Sypkim bursztynem ziarn kapiące śpichrze,
Na pustej ścierni szereg kopic długi.

O spiekłej ziemi gorące powiewy!
Ładownych zbożem wozów rząd na drodze,
Kraso odzianych żeńców długie śpiewy
I sierpów błyski w słonecznej pożodze.

O dziwne wielkie końca zbiorów święto!
Zda się, gdy z pola powrócą żniwiarze,
To sam Pan Jezus swą twarz uśmiechniętą
Przez złote okno księżyca pokaże.

I ku strudzonym, przez ciche błękity
Ściągnąwszy dłonie dobrotliwe swoje,
Ciężki wian złoty, ze zboża uwity,
Na swe niebieskie zabierze pokoje.

WSPOMNIENIE

P. Marji Puzyninie

Czasem w pochmurne zimowe południe,
Kiedy po reglach ćma mgieł się przewleka,
Nagle się jasność otworzy daleka:
Witraż słoneczny malowany cudnie.

Pod mgły wilgotnej szarością i głuszą
Słońcem dalekie oświetlą się góry,
A lasy na nich okiścią się puszą —
Jak chór aniołów we mgle — białopióry.

Rzekłbyś: na duchów krainę weselną
Nagle się oko niebieskie odmyka...
A mgła w ofiarę się zmienia kadzielną,
A w wietrze szumi anielska muzyka...

Że chce się klęknąć, i twarz ukryć w ręce,
Ślubując jasne aniołom przymierze.
A w sercu pachną wspomnienia dziecięce,
I szemrzą słodko matczyne pacierze...

CMENTARZ

Górski cmentarz. W posępnej przegniłej zieleni
Drzemią cicho rzędami mogiły przygodne,
Wśród smereków i krzyżów mgły się włóczą chłodne
I ta wiosna — smutniejsza od późnej jesieni. —

Rzekłbyś, że tu umarła wszelaka myśl żywa,
Że te groby rzucone zostały w przelocie,
I nikt się już za niemi nie zwraca w tęsknocie,
Ani rozpacznym krzykiem do życia nie wzywa.

Niezamącona cisza i spokój dokoła:
Tylko w dole gdzieś potok z wartkim szumem płynie,
Woda huczy w dalekim pracowitym młynie,
A dzwon południe głosi na wieży kościoła.

I wraz wchodzi na cmentarz przez odparte dźwierze
Kobieta w żółtej chustce na głowie pochyłej;
Klęka u rozniesionej samotnej mogiły
I — żegnając się głośno — zaczyna pacierze. —

BOJOWISKO

Pokotem leży ścięty las
Pod bladem niebem jesieni—
Pokotem leży ścięty las,
I tęczą swoich zmarłych kras
W zwiędłem listowiu się mieni.

Leżą w śmiertelnym, głuchym śnie
Stuletnich buków zręby...
Leżą w śmiertelnym głuchym śnie
Prastarych jedli złote pnie
I święte kapłańskie dęby.

Słońce zapada w morze krwi
Nad bojowiskiem boru —
Słońce zapada w morze krwi,
A ponad światem cicho śni
Wilgotny smętek wieczoru.

Gwiazdami siewna wstaje noc —
We mgły odziana chłodne —
Gwiazdami siewna wstaje noc,
I nad olbrzymów padłych moc
Rozwiesza sny pogodne...

Rzekłbyś: zmarłego lasu szum —
Jeszcze błękitem się niesie...
Rzekłbyś: zmarłego lasu szum —
Ostatniem echem świętych dum —
Płynie w gwiaździstym bezkresie.

Nad bojowiskiem mrok i cień —
(Milczący sen stuleci)
Nad bojowiskiem mrok i cień,
Tylko gdzie niegdzie drzewny pień
Błękitnem próchnem świeci...

«DŁUGI PRZERWANY PEREŁ SZNUR»

W albumie p. M. K.

Nie wiem, czy piję złote wino,
Czy wiosennego kwiecia pył?
Czuję na oczach bajkę siną...
Wspomnienia jakieś w górze płyną,
Jakby girlandę z duchów wił.

Jak mocno pachną krwawe róże!
Płomień pochodni w dymach drży...
Łuny się kładą na marmurze,
I łzy z pochodni cieką duże —
Płonące krwawo smolne łzy.

Na biały marmur sypko spływa
Długi przerwany pereł sznur...
Snują się marzeń mdłe przędziwa,
I owych pereł struga żywa
Echowym pieśniom daje wtór...

Cienie się włóczą w kątach sali
Pomiędzy kolumn smukły las,
W kielichach wino krwią się pali —

I idzie stary sen z oddali —
I siada blady... obok nas...

Zwolna mi w piersi serce chłodnie,
Kiedy mu patrzę twarzą w twarz...
Księżyc nad morzem lśni pogodnie,
I perły płaczą, i pochodnie,
I róże pachną...

SAMOTNOŚĆ

Szalejowa tęsknota na duszę mi padła:
Zatrutych łez tęsknota posępna i chora.
Zmora czai się ku mnie z każdego zwierciadła,
Z każdej szyby okiennej świeci twarz upiora.

Pożółkłych wspomnień karty na kominku płoną,
Iskrami świecą na nich tajemnicze runy...
Zeschłe kwiaty mi syczą jakąś wieść prześnioną
O zapachu kadzidła i sosnowej truny.

W powietrzu stęka głośno ciężki szept zegara
Nieubłagany, ciągły, straszny, monotonny...
W kątach włóczy się pustka i posępność szara
I lęk — ten bezlitosny, głuchy lęk przedzgonny.—

I wiem, że gdzieś daleko, ktoś bardzo mi drogi
Patrzy w tę nocną pustkę, i wyciąga ręce,
I grozi, i przyzywa mnie, i ginie w męce
Samotny...

WSCHÓD KSIĘŻYCA

Żeńcy idą od pola wieczorem,
Z głośnym śpiewem wędrują w gromadzie,
I śpiewając, przystają przed dworem,
Co zatonął cały w winogradzie.

Świerszcze strzygą i żaby rechocą,
Tarcz miesiąca powstaje w czerwieni,
Ogród mocniej zapachniał przed nocą
Wonią wczesnej pogodnej jesieni.

Ten chór nocy łagodnie daleki
Duszę dziwną ukaja harmonją;
Jakby dotąd tęskniła przez wieki
Za tą pieśnią, księżycem i wonią...

Jakby teraz zebrała swe plony
I wracała w dom, by przodownica.
Śni sen szczęścia, swój sen niewyśniony
Popod wschodem krwawego księżyca.

SCIERNISKA

Stygnące słońce zamglone, jesienne
Prześwietla srebrem szerokie ścierniska.
Lasy w zadumie stoją sine, senne,
Babiego lata nić na słońcu błyska.

Ziemia się cała roztapia w błękicie:
Jeszcze ostatnim, dalekim uśmiechem
Żegna minione bujnych plonów życie,
I jest już tylko cudem, snem i echem.

Wszystko się blaskiem i wiecznością staje,
Że nawet droga, wytarta w koleje,
Smugami złota pod słońce jaśnieje,
Jakby w niebieskie gdzieś wiodła wyraje.

Czasem cień lotny płynących obłoków
Padnie na ciche, rozmarzone wzgórza
I senną barwność falistych ich stoków
W nagłym, głębokim szafirze zanurza.

I wtedy nagle ich złote jaśnienie
Zaćmi smęt długich fioletów ugornych,
Melancholijny ból dzwonów wieczornych,
Męki żywota ostatnie wspomnienie.

A potem znowu promienie słoneczne,
Pajęczynami rozsnute po roli:
Światłości bożej ukojenie wieczne...
— Czy ciebie — duszo — jeszcze życie boli?

ZMIERZCH

Dnia złoty wicher za góry pierzchł,
Widma przelotne w dal żenie —
Duszę mi koi błękitny zmierzch —
Niby wspomnienie...

Niby wspomnienie rodzinnych stron
W nieznanych gwiaździc krainie...
Melancholijny wieczorny dzwon
Po polach płynie...

Niby wspomnienie szczęśliwych lat,
Które znękanych w śnie wita,
Łagodnej wiary błękitny kwiat
W sercu wykwita...

Łuny zachodniej żarzy się krew
W świętej cichości wieczoru,
Płyną psalmodje prastarych drzew
Kędyś od boru...

Dnia złoty wicher za góry pierzchł,
Widma ulotne w dal żenie:
Duszę mi koi błękitny zmierzch —
Niby wspomnienie.

WOŃ KWIATÓW

Moim kobietom

PIERWIOSNKI

Byłam w sadzie porankiem w przedwiośnie:
Wkoło dzieci różowe od biegu
Rwały drobne pierwiosnki z pod śniegu
I pieściły je, gwarząc radośnie,
Że to w śniegu stulone tak rośnie...

W myśli miałam letnią ciszę skwarną,
Kiedy w bujne lipcowe godziny
Oszalałe tęsknotą dziewczyny,
Skryte w kwietną gąszcz, pszczołami gwarną,
Spiekłe usta do krwawych róż garną...

STORCZYKI

Storczyki leśne tulą się w mchy;
Szeleszczą skrzydła anioła—
Zdrowaś Maryja! Dziewicze sny...
Korona gwiazd u czoła...

Błogosławieństwem łono Twe drży:
Anielskie słowo boleśne!
Kwieciem rozkwitły męki Twej łzy,
Jako storczyki leśne.

DZIEWANNA

Południe idzie upalne przez wrzosowiska:
Wyschłego ziela oddechy płyną upojne,
Czasami szklarka przelotna pod słońce błyska,
Albo motyle na kwiatach i pszczoły rojne;
Z gęstwiny kwietnej dziewanna dumnie wytryska.

Powietrze żarem drgającym skroś się przesyca,
Jakby niem chwiała koników harmonja szklanna...
Z sosnowych pni gorejących kapie żywica,
A wśród spiekoty słonecznej złota dziewanna
Stoi przegięta, miłosna — jak południca.

LILJE

Ta noc jest dziś pijana dziewiczością własną:
Na stawie rozmarzone posnęły łabędzie,
Gwiazdy od bladych tęsknot mrużą się i gasną;
Las wonnych lilij białych wybujał na grzędzie.

Rozwinęły się w bladej jasności księżyca,
Omuśnięte nocnego motyla skrzydłami,
I budzi się w nich wonią nieznana tęsknica,
Co złotym pyłem prątków biel kielichów plami.

Ciepłe powiewy nocne drzewami kołyszą,
W klombach bzów oszalałe brzmią pieśni słowicze,
Lilje na wiatr ślą swoje tęsknoty dziewicze,

I wszystko jest omdlałą, żądną, letnią ciszą...
Idzie świt. Noc się staje chłodniejsza i sina,
Niby w przeddzień zaślubin umarła dziewczyna.

TUBEROZY

Majaczą w zmierzchu snów śnieżyste tuberozy...
Czujesz dławiącą rozkosz oszalałej woni,
Zmąconą tchnieniem zimnem przytłumionej grozy?
Dziewczyny młodej trup, z mirtowym wieńcem u skroni.

Żałobnych laurów liść i wiotkie dymy kadzideł,
I ten szał niedośnionej, zatrutej śmiercią rozkoszy...
Słyszysz żałobny szmer motyli nocnych skrzydeł,
Które pogrzebny hymn od żółtych gromnic płoszy?

Umarły szał się czai w tej dławiącej woni,
Organów głuchy jęk i białych piersi marmury!
Dziewczyny młodej trup śpi cicho z mirtem u skroni...

W tej woni dyszy tchnienie przyczajonej grozy...
Mdlejący żar rozkoszy... żądz rozpętane chmury!
Majaczą w zmierzchu snów śnieżyste tuberozy...

ZMORA

Leżę pośród olbrzymiej tajemniczej komnaty,
Kędy srebrna fontanna — jak duch — szemrze łagodnie,
Kędy w urnach śnieżystych smolne płaczą pochodnie,
A pieszczotą zapachów pozdrawiają się kwiaty...

Na tle świetnych kobierców, w tęczach szkieł staroświeckich,
Cyklameny skrzydlate jak rój białych motyli...
Smętna złota mimoza zadumaną kiść chyli...
Róże krwawe zwisają z marmurowych waz greckich.

Na zmęczone źrenice opadają powieki:
Widzę fale tajemnych szafirowych roztoczy,
Strzał słonecznych zawieję, barwne pawich piór oczy,
Tęcz pogodnych przelśnienia na topieli dalekiej.

Lecz powoli woń kwiatów jadem we mnie się sączy:
Dale dziwów przebiega krótki sen gorączkowy:
We słonecznej spiekocie gaj majaczy palmowy,
Konający powoli od ljan kwietnych i pnączy.

REZEDA

Czasem, gdy w okna bije woń rezedy,
A rój świetlaków błędnych miga w sadzie —
Na moje serce smętek dłonie kładzie:
Odeszłaś — nie wiem gdzie i nie wiem kiedy...

Choć ciszę mącą tylko świerszczów syki,
Kiedy się patrzę na białe klawisze,
Jeszcze twe palce rozmarzone słyszę,
Płynące z falą Schumanna muzyki.

Nieraz, gdy idę przez puste pokoje,
Wsłuchana w głuchą opuszczenia ciszę,
Nagle się fotel lekko zakołysze,
Jakby go stopy potrąciły twoje.

Z ogrodu bije mocna woń rezedy,
I rój świetlaków błędnych miga w sadzie—
A mnie na serce smętek dłonie kładzie:
Odeszłaś — nie wiem gdzie i nie wiem kiedy...

ASTRY

W parku wspomnienia byłam. Czy pamiętasz?
Łkała jak niegdyś fontanna kamienna,
Szumiała klonów aleja jesienna,
I park był cały samotny — jak cmentarz.

Wszystko się zdało być niby tak samo:
Paw nawet krążył dokoła fontanny
I przez deszcz suchych liści bezustanny
Znaczył się świetną szafirową plamą.

I tylko jedną nową wieść ci powiem:
Klomb aster białych w wylocie alei
Zasypał oddech pochmurnej zawiei
Sztywnem, umarłem, jesiennem listowiem.

BRATKI

Znałam smutną duszę pięknej kobiety,
Co zbudziła się do wielkiego kochania
Za późno...
Gdy już uwiędłe liście dziewiczych marzeń,
Gorejące śmiertelnem złotem jesieni,
Zimny wiatr włóczył po stojących wodach...

A przejrzałam tę duszę w blady jesienny dzień,
Smutny — jak ona sama:

Kobieta szła ścieżyną kwietnego ogrodu,
Szeleszczącą suchemi liśćmi u jej nóg,
I przystanęła przed grzędą czarnych bratków,
Co roztulały się w słońcu stygnącem—by więdnąć.

Smutne były oczy bratków w ten dzień:
Roztęsknione za ciepłym promieniem słonecznym
Na rozchylonych miłośnie fioletach,
Za motylemi skrzydłami,
Za wiosną —
A rozkwitłe za późno—pod szronem jesiennym
W godzinę śmierci.
— Smutne były oczy bratków w ten dzień.

A kobieta uklękła na suchych liściach ścieżyny,
I ramionami
Objęła grzędę bladych, więdnących kwiatów
Takim uściskiem —
Jakby już nigdy nie miała oderwać ust
Od ich żałobnych fioletów...

A kiedy wstała, na ustach jej drżał uśmiech
Smutny, jak zapach bratków.

NIEŚMIERTELNIKI

Zerwijmy sztywne, syczące nieśmiertelniki,
Zapalmy lampę na grobie zmarłej przeszłości:
Na każdym grobie migocą żółte ogniki,
Na każdym grobie szeleszczą nieśmiertelniki...

Pamiętasz lata dziecinne? Przeszłość umarłą?...
Pod kloszem starej serwantki sztywne bukiety...
Na tle kominka skroń siwa... spłowiałe karło...
W nieśmiertelniki ustrojmy przeszłość umarłą!

NAD MORZEM NOCNEJ MGŁY...

Pod szafirowym, gwiaździstym stropem nocy
Olbrzym król
W skamieniałej sarkofagu bezmocy,
Wpatrzony w bezmiar, śni.

Otchłanie oczu mroczne
Wślepione w otchłań gwiazd:
Rzekłbyś, że na ich dnie
Zapadły gwiazdy dwie.
Granitów twardych zbroja i skamieniały miecz,
Od szronów osędziały, u boku zastygł w głaz.

Śni w głuszy olbrzym król
Na sarkofagu Tatr...
Po reglach hula wiatr
I dolnych smreków szum
W granitów głuszę gna...

(Może to jeszcze miecza świst
Ostatniem zgina echem
Smereczy tłum...)

Po zboczach Giewontu mgły się pną:
Wianem lekkim suną od borów,
Od śpiących stawów, od mokrych łąk
Wiją się, snują w miłosny krąg...

Jakby chciały budzić z snu,
Oplatają martwe łono;
Tulą się do ust zastygłych,
Jakby w nich szukały tchu...

Szepcą, wieją mgły czy sny,
Mgły łabędzie, mgły królewny,
Korowody jasnych mar —
Zwiewny
czar
wiosennych snów.

ŚPIEW Z NIZIN

Gdyby miłość była kwiatem,
Dałabym ci ogród z róż:
Krwawych róż, złotych róż,
Ogród cudu poza światem
W niegasnącym blasku zórz...
Gdyby miłość była kwiatem.

Gdyby miłość była falą,
Dałabym ci śpiewny grób
U zaklętej góry stóp,
Gdzie się w toniach gwiazdy palą:
Śpiewający wodny grób.
Gdyby miłość była falą...

Od dolin echo słowa niesie
Przez nocnych mgieł skłębione zwoje
I topi kędyś na bezkresie...
Wśród głazów pnie się ludzi dwoje.

DZIEWCZYNA

Pomnisz świetlicę moją?
Pomnisz płonące usta — róże?
Pieszczoty, które poją
Jak złote miodu kruże?

Słyszysz — od dolin idzie gwar,
Sady kwietne szumią, szumi las...
Jabłoni śnieżnych czar
Upoi, uśpi nas...
Pamiętasz — w mej alkowie,
Gdzie w oknach kwitły bzy,
Gwiazdy padały z pował
Kiedyś mię pocałował...
Pamiętasz nasze sny?
Straszą mię szczytów widziadła —
Wróćmy, gdzie róż pąkowie!
Patrz — gwiazda w otchłań upadła...

Zdaleka niesie wiatr
Smętną fujarkę juhasa,
Kędyś pod ścianą Tatr
Błyskają ognie watr,
Stado się w halach pasa...
Dziewczyna patrzy w dal.

DZIEWCZYNA

Prześniona szczęścia krasa!
Prześnione złote dnie!
Wiatr w reglach smreki gnie,
Trzęsę się cała na zimnie —
Ty sercem nie jesteś przy mnie,
Ty już nie kochasz mnie!

I wolno w dół odchodzi,
Nie patrząc poza siebie.
W sklębionych mgieł powodzi
Jak pośród morskich fal
Smrekami wiatr kolebie
I błyszczą ognie watr.

I człowiek został sam
W granitów mrocznej głuszy,
U szafirowych czasu bram
Z pieśnią swej własnej duszy
Sam.

Jeszcze mu oczy płyną w doliny
Jak ptaki zbłąkane do gniazd,
A ducha przestwór ogarnia mu siny
Przepaścią gwiazd...
I zwolna spływa na niego od gór,
Od tej siklawy co z głazów się ciska,
Od skał posępnych mrocznego urwiska,
Od mgieł i chmur
Wielka, bezbrzeżna jak Wieczność —
Tęsknota...

Chciałby się modlić i w pustce bezkresnej
Szuka złotego piorunu Jehowy
Albo Chrystusa źrenicy bolesnej,
Lecz słyszy tylko ludzkich bólów morze
Pod mrocznym stropem gwiaździstej posowy.

(Śni mu się kędyś w lotnych światów szumie
Starzec, któremu w skołatanej ręce
Gwiazd i słońc rojnych promienie się plotą...
Wszechmocny Twórca—w wiecznej trwogi męce—
Jak dziecko co splątało nitkę srebrną i złotą,
Której rozplątać nie umie.)

Dusza człowiecza w bezdennym przestworze
Zbłąkana grozą Samotnej Godziny
Żebrze rozpacznie o pacierz matczyny
— I słyszy tylko ludzkich bólów morze. —

Lecz już z za świata w mgieł powodzi
Daleki, blady świt nadchodzi
I wieje górą rzeźwy chłód.
Król olbrzym niby z bronzów lity,
Oprawny w regli malachity,
Rozjaśnia zwolna rysy mroczne.
Siklawy lotnej długie strugi
Świecą jak wąż srebrzysty, długi
Przez pokłębione mgły obłoczne.
Po tajemniczej gwiezdnej nocy
Staje się słońca wieczny cud,
Dzień wznosi berło Mocy.
I oto wraz się staje człowiek
Jak kierz kosówki w słońcu,
Niby jaszczurka pośród skał:
Radby się w blaskach grzał,
Kwietnemby życiem żył,

W każdym obłocznym gońcu,
W każdym wietrzanym podmuchu
Czułby istnienie własne,
— Łzy ciche płyną mu z pod powiek,
Łzy — jasne.

Minęła oto noc
Z nieskończonością gwiazd
U szat,
Ze snu się budzi świat,
Ptaki śpiewają pośród gniazd,
Słońce odbija się w źrenicy...

O, stać się pieśnią ptaka w duchu!
O, stać się częścią tajemnicy!

Nad morzem mlecznej, rannej mgły,
Grającej blaskiem zorzy,
Człowiek świat własny tworzy
I czuje duszę świata.
Myśl mu zapada w złotą jaśń
Jakoby w topiel wieków,
Otchłanie czasu skroś przelata
I oto staje przed nim baśń:
Wieczyste ziemi sny.

Z pod gotyckiej mrocznej kępy smreków
Wychodzi ku niemu Driada:
Zielonowłosa i śmigła,

O ciele złotem niby kora sosny,
Strojna pąkowiem wiosny,
Brzegiem strumienia się skrada.

DRIADA

Wróciłeś do nas znów!
Cóż cię przywiodło w góry?
Czyli ścigana kozica,
Czy gwiazd srebrzyste sznury,
Czyli tęsknica?

Siostry wysłały mię do ciebie
Z najrańszem słowem wiosny.
Słyszysz, jak oddech jej radosny
Czubami drzew kolebie?
Oto witamy cię jak brata!
Pozostań z nami! ducha zwól!
Czem tobie ludzkiej nędzy ból?
Staniesz się częścią Duszy Świata.
Tu groza śmierci już nie władnie,
Tu — patrz — w przepaści mrocznej
na dnie
Mgła się jak biały łabędź kładnie.
Zostań! we słońcu będziesz śnić
Jako pajęcza, długa nić,
Jako wiosennych kwiatów pył
Będziesz odradzał się i żył.

Zbądź życia łez i nędz i grozy!
Czujesz pieszczotę ziemi tchu?
Patrz, ja w gałęziach białej brzozy
Co wiosna wstaję z śmierci snu,
By znów
Z jesieni pierwszem złotem,
Z pierwszym jaskółek odlotem
Zapadać w głuszę snów...

— A czem mi śmierć i czem mi
życie? —
Gdy głogi staną w krwie,
Gdy wicher zwieje liście
Z płaczących brzóz,
Gdy smęt rozsnuje się w błękicie,
Przychodzi skrzący mróz
Otulić mię w okiście...
— I w śmierci słodko śnię...

Z Driady leśnej jasnych wieści
Przeczucia płyną czy wspomnienia.
Ona się sama w czar zamienia
I ludzką duszę czarem pieści.

A oto z srebrnych wód kaskady,
Co wężem zsuwa się z przełęczy,
Wybłyska śnieżna skroń Najady,
W ruchomych fal otęczy.
Blada jak posąg marmurowy,

W pian rozbryźniętych strojna śnieg,
Wodnica wspiera się o brzeg
I szemrze przedziwnemi słowy.

NAJADA

Dusza cię boli?
Gnębi cię wieków tajemnica,
Zagadka ludzkiej doli?
Patrz... moich jasnych wód krynica
Wytryska z głębin ziemi wnętrza,
Pianami się wśród głazów spiętrza,
A kiedy cicho toczy wody,
To odzwierciedla w swojem łonie
Gwiazd nieskończone korowody:
Na dnie jej żywe niebo płonie
Zaklęte w wodną głąb...

My zwierciadlanych wód Najady
Jesteśmy strażą Tajemnicy
I gwiazd i gór i chmur
Zaczarowanych w fali łonie...
O, zstąp
W głębinę mej krynicy:
Uśpią cię szumnych pian kaskady,
Oplotą nasze ciche dłonie...

I szepcą — prawią — dziwne baśnie
Łagodnym szumem drzew i fal:

O sercu, które cicho zaśnie,
O tęczach, które koją żal,
Że oto człowiek skłonił głowę
W przesłodkie ręce marmurowe...

Słońce powstało już nad mgłami,
Prześwietla krwawo kłęby chmur,
Złotą pożogą szrony plami
Na szczytach gór.
Stopionem złotem zbroja błyska
Na granitowej piersi króla,
A mgła się nocna wtula
W skalne urwiska.

ZWIERCIADŁO

SZUM FALI

Gdy siądę nocą letnią nad brzegiem wody,
a topiel cicho szumiąca pieści mi stopy i płacze,
a wodne lilje u brzegu, jak rozprószone gołębie,
tulą się w echa świateł na wodzie grające...
Kiedy miesiąc kołysany i cichy
lite pasy światła na fali tka —
wówczas wstaje mi w myśli niby prześniony sen
życie dawno minione, fala powrotna wieczyście—
zwierciadlana duszy mej baśń.

W grającej, prześwietlonej, rozkołysanej głębinie
byłam białą wodnicą o księżycowych
warkoczach:
chodziłam po złotem dnie,
w tęczach fal,
zbierając perły z roztulonych muszli.

Raz wir mię rzucił wodny na powierzchnię,
gdzie zobaczyłam chmurną, niedościgłą piękność
gwiazd
(kryształy bożych myśli w nieskończoności
zwieszone)
i powróciłam w głąb, gwiaździstych tęsknot
pełna.

Lecz zabrakło mi mocy wielkiego pragnienia,
by się wyskrzydlić, choćby mgłą z głębiny
i w nieskończoność ulecieć do gwiazd.

Nie miałam siły rzucić wodnych tęcz,
i pałaców, i cudów topieli...
nie miałam siły rzucić wodnic sióstr,
z któremi zawodziłyśmy po głębi pląs;
ni wodników władających skarbami morza,
którzy gonili kręgi nasze lubieżnem spojrzeniem
i gradem świetnych pereł...

Nie miałam sił, więc tylko owionęłam się moją
tęsknotą
i poczęłam ją pieścić — kołysać szumem fal —
i ukochałam niemoc moją i rozpieśniłam ją,
że stałam się harfiarką narodów topielnych.

I — błądząc w koralowych lasach zadumana,
lub stając w konch perłowych śpiewających
grotach —
o mej tęsknocie długie grałam pieśni
na księżycowych strunach mych warkoczy. —

A pieśń niemocy złudną kołysały fale,
aż mi urosła — w klątwę. —

GIEWONT

Ukochałam śpiącego granitowego rycerza
na sarkofagu Tatr.

O wędrowniczym kiju szukałam po świecie
kochanka:
kochanka wyższego nad życie i śmierć,
kochanka wieczystej miłości.

Jego głosem mi grały szumy wiosennych potoków,
jego snem i tęsknotą, nieukojoną po wiek,
kołysała mię topiel błękitnych nocy miesięcznych—
A loty wichrów drogę ku niemu znaczyły.

Obaczyłam go w skrzące zimowe południe,
gdy na śniegach błyszczały porozrzucane klejnoty,
niby miłości dziewosłębny dar; —
obaczyłam i duch mi się zerwał ku niemu—
jak ptak.

Z tęskniącemi ramiony i piersią pełną pieszczoty
poczęłam niestrudzenie iść do kochanka —
ku szczytom...
lecz czem wyżej się piełam wśród skał spiętrzonej
pustyni,

tem beznadziejniej, dziwniej ginęły mi rysy
wyśnione —
aż ujrzałam się sama na sarkofagu z granitów,
wśród poszarpanych głazów i niezgłębionych
przepaści.
Jeno siklawa, hucząc, z nagiej rzucała się skały,
i orzeł gdzieś się ważył ze skwirem ostrym
wśród chmur.

Próżno wzywałam klątwą szatana spełnienia,
próżno pytałam wichrów i orła i złomów
skalistych —
nie było piersi, która sercem mi miała odźwięczeć,
nie było ust, do których łkała pieszczota tęskniąca!
pustka — i tylko wicher jęczy mi w chmurach
nad głową,
niby szloch niewidzialny — ducha...

A mnie świat zginął w oczach, i serce w kamień
zastygło,
i przeżyłam swe własne życie o wieczność
męczarni.

Wielkość! wielkość! Ze skały niby siklawa się
cisnąć,
i roztrzaskać na skałach pierś, która pustkę ma
w sobie!
W tę otchłań okrwawioną zachodem słońca
czerwonym,

paść, i lecieć przez wieczność — niby rozpędna
lawina,
którą szatan zniszczenia opętał i strącił
ze szczytu! —

Wielkość! wielkość! i padłam czołem na zimne
kamienie
pod ciężarem umarłych snów niewyśnionej miłości,
i leżałam bezradna w chmurnej zachodu pożodze,
zbywszy tęsknoty i szczęścia, pierwszy raz
w życiu samotna —
samotna odtąd po wiek.

Kiedy wstałam, nade mną nocy bezdennej
głębina —
wyiskrzona gwiazdami—mroczne koiła bezmiary
szafirowem milczeniem...

ŹRÓDŁO

Wacławowi Berentowi

Czasem, kiedy mię gniotą mury i ludzie,
idę w bór,
i zazieram w tajemne, głębokie jego wnętrze.

A kiedy widzę te żałobne czarnych świerków
kaplice,
i melancholję białych płaczących brzóz,
i rudą wybujałość sosen żywicznych —
te pnie zmurszałe mchem i parościami porosłe —
to zdaje mi się, że niegdyś... niegdyś...
w tych nieprzebytych gąszczach... byłam...
dziwożoną,
co uciekała, jako dzikie sarnię, przed rogów
myśliwskich muzyką.

I zwolna na falach wiatru przypływają do mnie
wspomnienia —
dalekie, rozpłynięte echa przeszłości;
a w myślach mi powstaje całe to życie minione:
utraconego szczęścia wiecznie żałosna historja...
pamiętam ją i rozumiem.

Chodziłam w chaszczach gibka, włosami jeno
okryta,
stroiłam się w jarzębin i kalin płomienne grona,
a paprociami pokrywałam nagość mego ciała,
przepojonego wonią bujnej sosnowej żywicy.

Znałam wszystkie uroki gwiaździstych kwiatów
paproci,
i tańce błędnych ogników nad zaklętemi skarbami,
a żyłam wolna, samotna—w głębi niezmiernej lasu,
który sam tylko był jedyną mą miłością.

Aż obaczyłam kiedyś w jednem przejrzystem
źródełku,
w czystem źródełku leśnem ujrzałam kiedyś swą
postać:
i zapatrzona stanęłam przed swojem własnem
odbiciem
z zmąconą duszą źródlaną...

A odtąd ptaki krase, i wszystkie drzewa szumiące,
i wszystko kwiecie stulone — wiecznie patrzało
już na mnie —
a z oczu we mnie wślepionych mój własny
śmiał mi się obraz,
ustrojony w samotność i w dziką wolności poezję.

I oto kiedym wiosną stawała na leśnych polanach,
w wysokiej trawie tonąca;

i wyciągała ręce na ciepłe powietrze,
pragnąc prześwięte słońce ogarnąć uściskiem...
— i kiedym się jesienią kryła w posępnych
wykrotach,
gdzie słychać jeno szmer usychających liści —
i — tuląc czoło do wilgnego pnia walącego się
dębu —
łez kilka rzucić chciała za odchodzącem latem —
Zawsze, niezmiennie, siebie widzieć musiałam
przed sobą.

Aż wreszcie stało się, co stać się musiało...
co jest.

UKOCHANIE

Na drogę życia wszechlitosna Dola
zesłała mi swój dar.

Dziwny dar: ptaka o zbyt słabych skrzydłach,
ptaka nad miarę rwącego się w lot:
bijące ludzkie serce.
Dała mi w ręce i kazała ukochać je i nieść
wysoko ponad głową
przez całe życie.

I oto idę — wysoko nad głową
w kielichu złożonych rąk,
niby krwawo bijący płomień,
niosąc bezlotnego ptaka.

Idę ścieżynami stromemi po górach,
po niedostępnych cyplach wirchów skalnych —
by mój tęskniący ptak
miał wiatr i słońce.

A kiedy widzę w dali krwawe błyski watry —
uciekam —
bo wiem, że ludzie otoczyliby mię zwartym
kręgiem

i oglądali serce płomieniem bijące;
a długie, ciężkie ich cienie
zakryłyby mu błękit niebieski i słońce,
bez których stygnie mi w ręku i mrze!

Idę więc sama po niedostępnych rysach...
a kiedy mi z pod nóg
piasek i gruz
osypuje się w przepaść —
blednę i modlę się
ja, któram dawniej nie znała modlitwy.
Bowiem drżę, by nie padło w otchłań ziejącą—
krwawiąc się, roztrzaskując na głazach —
serce, które miłośnie niosę ponad głową.

A kiedy wreszcie cicho zejdzie ku mnie
z słodkim uśmiechem wszechlitosnej Doli
śmierć:
zatrzymam kroki swoje na najwyższym szczycie,
i całą mocą
rzucę mojego bezlotnego ptaka
w słońce!

Z TEKI POŚMIERTNEJ

(1902 — 1909)

* * *

Wśród kuli szklanej starego przycisku
szklana toń morza pianami się puszy
i niesie w koło zaklętej swej głuszy,
w cichych szafirów gorącym przebłysku,
żagiel, co wzdętą ma pierś i wichr kruszy.

Jak pawie pióro ze snów pióropuszy
lub modra ważka na trzcin jeziorzysku
błyska i piersią swą toń zawieruszy
wśród kuli szklanej —

A kiedy przycisk się dłonią poruszy,
to cicho, sennie, w zamkniętem kolisku,
wielkiemi płaty śnieg prószy i prószy,
i ginie wszystko w śnieżystym uścisku:
niebo i morze i żagiel mej duszy
wśród kuli szklanej —

* * *

Pachnie w słońcu ogródek plebanji:
Wonny groszek, maciejka i mięta...
W białych oknach doniczki geranji,
Przed oknami gąszcz bzów rozkwitnięta.

Każde ziele przyklękłe pamięta
Dech kadzideł i szepty litanji.
Pachnie w słońcu ogródek plebanji:
Wonny groszek, maciejka i mięta..

Pieśń nabożna idącej kompanji
Zdala płynie od pól — wniebowzięta —
Pszczoły dzwonią: święta, święta, święta
Boża ziemia, boża macierz, pani —

Pachnie w słońcu ogródek plebanji...

* * *

Wonnym wieńcem dziewiczym rozkwitły sady.
Pomnisz: niegdyś w samotnej pustce ugornej
Z mogił wzrosły las krzyżów, majak upiorny,
Jak las krwawych korali w zorzy wieczornej.

Białym wieńcem zaślubnym rozkwitły sady.
Użyźniła tak glebę krwawa ulewa,
Aż rozrosły się krzyże w owocne drzewa,
Kędy pieśnią nadziei pszczeli rój śpiewa.

Cichym wieńcem ofiarnym rozkwitły sady
Lecz zbyt długo już z ziemi bólu siew piły
Owe drzewa owocne, wzrosłe z mogiły...
Dziś na szczęścia żar złoty nie mają siły.

ZMIERZCH

Ognisty smok pociągu przeleciał za lasem —
I znowu w srebrnem niebie czarne sosny drzemią.
Gwiazdy pierwsze w gałęziach zabłysły, a czasem
Niespokojny nietoperz przelata nad ziemią.

Z pastwiska kędyś Jasiek skrzykuje się z Kachną,
Której głosik w dal snuje się jak nitka cienka.
Od niskich łąk pod rosą mokre siana pachną,
A w dali rozpalają się chałup okienka.

Czemuż ta chwila zmierzchu letniego kołysze
Zmęczoną duszę moją tak cicho i słodko?
Jakiż to głos daleki, zapomniany słyszę?
Gdzie jesteś, tajemnicza, rozśpiewana zwrotko?

Wsi polska! Czy z tym zmierzchem wilgotnym
się sączy
Twój słodki, wierny smutek w mą duszę i ciało,
Czy to przędza co życie nierozdzielnie łączy
Z ziemią, w której mogiłę swą znaleźćby chciało?

ŚPIEWANKI

I

Zbudowałam jasną chatę
mej miłości,
zaprosiłam sny skrzydlate
do nas w gości.
Wścież otwarłam okien troje:
a przychodźcież, goście moje!

Jednem oknem słońce weszło:
żar się spłonił.
Drugiem oknem księżyc wpłynął,
twarz przesłonił.
Trzeciem oknem wicher wleciał:
precz rozgonił.

II

Wiatrowi brzoza szumi,
wiatrowi brzoza
— lelu-polelu —
szumi,
że ma gałęzi las!

Miłego dziewka kusi,
miłego dziewka
— lelu-polelu —
kusi,
że ma warkocze w pas!

Za wiatrem brzoza wzdycha,
za wiatrem brzoza
— lelu-polelu —
wzdycha,
że ją uciska głaz!

Za miłym dziewka szlocha,
za miłym dziewka
— lelu-polelu —
szlocha,
że dzień jej szczęścia zgasł.

III

Chciałam zaprzęgać orły w wóz,
by mnie w kochania żywot niósł —
chciałam mieć skrzydła u ramienia,
by mnie poniosły w świat z płomienia!

A dzień, by ciężki wóz się wlókł
i zwiózł mi słońce w nocy bróg;
wyżarła ciemność oczy moje,
ponad cmentarnym dołem stoję.

IV

Oj, jedzie do mnie, jedzie
Z swych dalekich wędrowań —
Jeno w drodze konik mu się powinął...

Oj, jedzie do mnie, jedzie,
Chciwy lubych całowań —
Jeno pierścień zalubny mu zginął...

Oj, zjedzie do mnie, zjedzie
O tej wieczornej zorzy
W umajone tatarakiem pokoje...

Oj, zjedzie do mnie, zjedzie,
Miłość wrota otworzy —
I skona serce moje...

V

Wieczór dobry, wieczór szczodry
Zachodową idzie smugą —
Aż ku jasnej nocy modrej
Za lewady srebrną strugą —
Aż na moście, na kolebie,
Zanim doszedł drogi końca,
Spojrzał jeszcze poza siebie —
Pożałował widno słońca.
Z za niebieskich wyjrzał pował,

Nim utonął w nocy modrej —
Widno — życia pożałował
Wieczór dobry, wieczór szczodry...

VI

Oj, zapalcie, dobrzy ludzie, gromnicę —
Zmarłe szczęście kładę dzisiaj w trumnicę.
Niech po śmierci choć popatrzę mu w lice...

Było jasne — jako słońce o świcie,
Było lekkie jak puch kwiecia w rozkwicie.
Cóż kamieniem przywaliło mi życie?

VII

Wianki moje, wianki — perłami sadzone!
Trzaby mi was płakać — jak matki rodzonej,
Trzaby po was krzyżem leżeć mi w kościele,
Zażegnywać trzaby wasze bujne ziele —
Wianki moje!

Pletłam ja was nocką, nad wodą stojąca,
Łabędź tam przepływał bielszy od miesiąca.
Łabędziu, łabędziu, czarowniku biały!
Wianki mi trójzielne w wodę pospadały —
Wianki moje!

Na głąb skrzydła rozpuść nito srebrne sieci,
Wyłów wianek złoty co za wodą leci...
Oj, gońże, łabędziu, tę bieżącą wodę!
Oj, gońże, łabędziu, moje lata młode —
Wianki moje!

Nie dogonić wianka co za wodą płynie,
Nie pocieszyć serca co z miłości ginie!
Kwitłam ci jak róża, więdnę jak lilija...
Wyjdę na poletko, wicher mną powija —
Wianki moje!

VIII

A wyjrzyjcież, pacholice,
Kędy huka róg!
Czy to jedzie mój kochanek
Z swych dalekich dróg?

A już jedzie, już ci wjeżdża
W zamkowe dźwierze —
Łyszczą mu się z pod szyszaka
Złote kędzierze.

Toż przewińcie, pacholice,
Kobierzec przez próg,
Żeby sobie mój kochanek
Nie zbrukał ostróg.

Podajcież mu, pacholice,
Roztruchan drogi —
Przedniem winem niech go raczą,
Gdy wejdzie w progi.

A witajcież, hospodynie,
Miłowany mój!
Uznojone wasze czoło,
Rycerzowy strój.

A witajcież, hospodynie,
A spocznijcie wraz!
Krasnem winem was napoję,
Przyhołubię was.

Wziął ci puhar w ręce obie
Od służebnych dziew —
Na ziem wino się polało,
Czerwone, by krew.

Czegoś smutny, hospodynie,
Cóż ci blednie twarz?
Krew na ręce ci upadła,
Krwawe ręce masz!

PRZYPISY

Tom niniejszy obejmuje:

A. Utwory zawarte w następujących pierwszych dwóch zbiorkach poezyj:

1. *BRONISŁAWA OSTROWSKA (EDMA MIERZ). O P A L E. Warszawa, 1902, Jan Fiszer. Portret autorki — reprodukcja rzeźby Stanisława K. Ostrowskiego.— Okładka Edwarda Trojanowskiego. Str. 96;*
2. *BRONISŁAWA OSTROWSKA. POEZYE. Lwów, 1905, Polskie Towarzystwo Nakładowe. Str. 128.*

Z powyższych dwóch zbiorków nie weszły tutaj dwa utwory, pisane prozą: z OPALI utwór bez tytułu, zaczynający się od słów: Splątał mi się zielony jedwab... *i z POEZYJ utwór p. t.* Paproć. *Utwory te Autorka włączyła potem do osobnego zbiorku p. t. JESIENNE LIŚCIE, Lwów, 1905; w wydaniu niniejszem znajdują się w tomie V.*

B. Utwory z teki pośmiertnej, pisane w okresie 1902 — 1909, lecz niewłączone do żadnego zbiorku.

Tekst utworów grupy A opiera się na przytoczonych wyżej pierwszych wydaniach książkowych —

z wyjątkiem 6 utworów z OPALI i 18 z POEZYJ; utwory te były wydane po raz drugi w antologicznym zbiorku p. t. ANIOŁOM DŹWIĘKU, Warszawa, 1913, z pewnemi zmianami w tekście, zwłaszcza w interpunkcji; drukujemy je tutaj podług nowego opracowania. Zamieszczone niżej przypiski szczegółowe informują: które wiersze są drukowane podług wydania II (w zbiorze ANIOŁOM DŹWIĘKU), do jakiego cyklu w drugiem wydaniu zostały zaliczone i jakie zachodzą różnice tekstowe pomiędzy I a II wydaniem. — Tekst grupy B opiera się na autografach.

Pisownię — tutaj i w następnych tomach — ujednostajniono podług obowiązujących dziś przepisów. Słowa typu Marja, lilja *oraz typu* diament, fiołek, *jeżeli ze względów metrycznych wymagają wymowy trzysylabowej, drukowane są w formie:* Maryja, lilija; dyjament, fijołek. *W interpunkcji zachowano charakterystyczne dla Autorki właściwości.*

O P A L E

Str. 3. Miłowanie. — *Tekst podług wyd. II, gdzie utwór — z opuszczeniem pięciu ostatnich oktaw ustępu 1—umieszczono na czele cyklu* Pieśń Miłości. *Różnice I wydania:*

str. 6, w. 2: Że głąb kryniczna *obrazy ich trzyma... w. 8: Świetlaną smugą* przepłyną *w błękicie w. 19: Nad brzeg tej* dziwnej *krynicy bezmiarów*

str. 6, w. 23: A ja schylona nad toń *pełną czarów,*
str. 7, w. 2: Do jakiejś wielkiej jedności *i Bożej,*
w. 7: A wiew mu żaden piór białych *nie wichrzy...*
w. 13: Możebyś duszę *utopił w błękicie*
str. 8, w. 7: I w one skrzydła niezmiernie *utuli,*
Str. 38. Żórawie. — *Tekst podług wyd. II, gdzie wiersz ten wchodzi do cyklu* W zachodzie.
Str. 54. Snienie.—*Tekst podług wyd. II (cykl* W zachodzie). *Różnice I wydania:*
w. 2: Gdy czar miesięczny tchnie wśród *pól gwiaździstych?*
w. 6: Czy błękit skrył ci kiedy przed oczami *ziemię?*
Str. 61. W zachodzie. — *Tekst podług wyd. II (cykl* W zachodzie). *Różnice I wydania:*
w. 9: Kwieciem kąkolu i ostróżki *tkan,*
w. 10: Świerszczami dzwoniący *cały długi dzień* —
Str. 68. Mój sen. — *Tekst podług wyd. II (cykl* Zbożne echa). *Różnice wydania 1:*
w. 7: Idzie mój sen, *jak błędne moczarów ogniki,*
w. 8: Obłąkany, choć jasny, smętny *choć skrzydlaty,*
w. 13: Idzie mój sen, *oddechem ziemi owionięty,*
Str. 71. Baśń o trzech siostrach. — *Tekst podług wyd. II (cykl* Pieśń Miłości). *W wyd. I utwór ma tytuł* Babie lato *i różni się w następujących wierszach od wyd. II:*

str. 72, w. 3: A weśrednia w ten czas szła na wygór pod las,
w. 20: Więc po drodze się cieszy a chlubi,
w. 23: A weśrednia szła z nią; oczy żarem jej skrzą,
str. 73, w. 15: A ta oczy w dal śle, ani słuchać go chce;
str. 74, w. 4: On mi śpiewa pode wsią na wygonie,
w. 8: A miał lica okrutnie zsępione,
Str. 77. Ze słońcem. — Przed wydaniem w OPALACH utwór ten drukowany był w Nr. 261 Kurjera Warszawskiego z r. 1902, z następującą notatką, umieszczoną pod tytułem: «Sielanka, nagrodzona lilją złotą na turnieju Wędrowca».

POEZJE

Str. 89. ***. — Tekst podług II wydania, gdzie wiersz ten został włączony do cyklu Zbożne echa. Różnica I wydania: w. 4: Co echo słońca widzi w swoim sierpie.
Str. 90. Łódź moja.—Tekst podług wyd. II (cykl Zbożne echa). W wydaniu II redakcja opuszczona. Różnica I wydania:
w. 15: W każdej chmurze przestrzennej w jeziorze odbitej,
Str. 97. Cud-Królewna. — Tekst podług wyd. II gdzie utwór ten wchodzi do cyklu Pieśń Miłości.

Str. 102. Pieśń.—*Tekst podług wyd. II, gdzie utwor należy do cyklu* Pieśń Miłości *i ma tytuł* Na szklanej górze. *Pozostawiliśmy tytuł wyd. I ze względu na łączność tego wiersza z utworem poprzedzającym go* (Szklana góra), *który do wyd. II nie wszedł.*

Str. 109. Krysta.—*Tekst podług wydania II (cykl* Pieśń Miłości). *Różnica I wydania:*

str. 112, w. 11: Pamiętać jeszcze będą *tę godzinę,*

Str. 117. Przedwiośnie. — *Tekst podług wyd. II (cykl* Zbożne echa). *W wyd. I wiersz nosi tytuł* Zwiastowanie *i różni się odmienną interpunkcją pierwszej strofki, nadającą jej inne znaczenie. Strofka ta ma w I wyd. taką postać:*

Nad obudzonej ziemi łonem
Dzwon bije głośno, bezustannie,
W powietrzu wiosną zbłękitnionem...
Anioł zwiastował Marji Pannie.

pozatem w. 9 brzmi w I wyd.: Odkupiający wid kalwarji:

Str. 118. Palmowa.—*Tekst podług II wyd. (cykl* Zbożne echa). *W wyd. I wiersz ma tytuł* Marja *i następującą różnicę: w. 1:* Dwakroć *szablicą cięta, w gwiezdnej aureoli,*

Str. 119. W pasiece.—*Tekst podług wyd. II (cykl* Zbożne echa). *W wyd. I wiersz nosi tytuł* Pasieka *i niema motta.*

Str. 120. Rezurekcja.—*Tekst podług wyd. II (cykl* Zbożne echa). *Różnica I wydania:*

w. 10: Rozpiera mury kościelne! grzmi *w arkad sklepionych stropie!*

Str. 121. Jur.—*Tekst podług wyd. II (cykl* Zbożne echa). *Różnica I wydania:*

w. 1: Na tle krwawiącem słonecznej *pożogi,*

Str. 136. Upiór.—*Tekst podług wydania II. W wydaniu I utwór ma tytuł:* Le revenant est seul... *Inne różnice I wydania:*

w. 4: Ledwie spostrzegasz *w źrenic obramieniu,*

str. 137, w. 2: Cicho! ktoś przeszedł... Okna wolno *gasną.*

Str. 138. Ruiny. — *Tekst podług wyd. II (cykl* Zbożne echa). *W wyd. II dedykacja opuszczona. Różnice I wydania:*

w. 4: I łubinów pachnących *gorejące złoto.*

str. 139, w. 7: I twarze *świętych stroi kurzów tęczą*

w. 9: Pośród zburzonych *długich korytarzy,*

w. 11: Jak fresk tajemnych *zaświatowych twarzy,*

w. 12: Dziś buja gęstwia *naniesionych ziół.*

w. 13: Pośród nagrzanych, *sypiących się głazów,*

w. 14: Przesiąkłych *pieśnią modlitewnych ech,—*

Str. 140: Żniwa. — *Tekst podług wyd. II (cykl* Zbożne echa). *W I wydaniu wiersz ma tytuł* Żniwo *i następującą różnicę:*

str. 140, w. 7: Krasо odzianych żeńców głośne *śpiewy*

Str. 149. Ścierniska.—*Tekst podług II wyd. (cykl* Zbożne echa). *W wydaniu I wiersz ma tytuł* Babie lato.

Str. 157. Dziewanna.—*Tekst podług II wyd. (cykl* Oddech morza). *W wyd. I w. 4 brzmi:*

Albo motyle na wrzosach *i pszczoły rojne...*

Str. 158. Lilje.—*Tekst podług II wyd. (cykl* Oddech morza).

Str. 161. Rezeda. — *Tekst podług II wyd. (cykl* W zachodzie).

Str. 165. Nieśmiertelniki. — *Tekst podług II wyd. (cykl* W zachodzie).

Z TEKI POŚMIERTNEJ

Str. 195—198. — *Wiersze drukowane z autografów.*

Str. 199—204. Śpiewanki. — *Trzy pierwsze wiersze z tego cyklu (I, II i III) drukowane były w* Kurjerze Warszawskim, *Nr. 322 z roku 1909, p. t.* Śpiewanki ukraińskie. *Cały cykl w autografie miał pierwotnie tytuł* Śpiewanki smętne, *zmieniony później na* Śpiewanki.

SPIS RZECZY

OPALE

Miłowanie 3
Jak ten młody ptak 9
Po kwiatach. 11
Wiosną 13
Bogdajem... 15
Sosna 16
Rojenia 17
Melancholja 19
Rusałki 21
Z tamtego brzegu 28
Wizja. 30
Pieśń 32
Żywy ruczaj 35
Cmentarz 36
Żórawie 38
Królewicz maj 39
Otwórz, Janku! 41
Przez włosy twoje 43
Łzy 44
Menuet 45
Wspomnienia 47
Kwiat paproci 49

Echa 50
Nokturn 51
Aleją bzów 52
Martwy staw 53
Śnienie 54
W starym parku 55
Jaskółka 57
Gwiazdy spadają 58
Olśnienia 59
W zachodzie 61
Śmierć 62
Spowiedź 64
Przed Madonną 66
Cisza 67
Mój sen 68
Bagno 69
Mniszka 70
Baśń o trzech siostrach 71
Z panopticum 75
Światy 76
Ze słońcem 77
Pospolitość 83

POEZJE

Łódź moja 87
Niewcielonemi snami... 89
Łódź moja 90
Skrzydła 92
Wcielenie 94

Cud-królewna 95
Cud-królewna 97
Szklana góra 100
Pieśń 102
Maruna 106
Krysta 107
Arabeski 115
Przedwiośnie 117
Palmowa 118
W pasiece 119
Rezurekcja 120
Jur 121
Fontanna 122
Obłąkana 123
Pająk 124
Brat Jan 125
Wiersze różne 131
Gra chmur 133
Upiór 136
Ruiny 138
Żniwa 140
Wspomnienie 141
Cmentarz 142
Bojowisko 143
«Długi przerwany pereł sznur» 145
Samotność 147
Wschód księżyca 148
Ścierniska 149
Zmierzch 151

Woń kwiatow. 153
Pierwiosnki 155
Storczyki 156
Dziewanna. 157
Lilje 158
Tuberozy 159
Zmora 160
Rezeda 161
Astry 162
Bratki 163
Nieśmiertelniki 165
Nad morzem nocnej mgły... 167
Zwierciadło. 181
Szum fali 183
Giewont 185
Źródło 188
Ukochanie 191

Z TEKI POŚMIERTNEJ

Wśród kuli szklanej... 195
Pachnie w słońcu ogródek plebanji... . . . 196
Wonnym wieńcem dziewiczym... 197
Zmierzch 198
Śpiewanki 199
PRZYPISY 205

BIBLIOTEKA NARODOWA

ERRATUM

Str. 24, w. 7 od góry — zamiast *owianą*
ma być *owiane*

PISMA POETYCKIE
BRONISŁAWY OSTROWSKIEJ

WYDANIE ZBIOROWE W SZEŚCIU TOMACH

*Tom pierwszy: Opale (1902) * Poezje (1905). Tom drugi: Chusty ofiarne (1910) * Aniołom dźwięku (1913). Tom trzeci: Z raptularza (1910 — 1917) * A. B. C. Polaka pielgrzyma (1916). Tom czwarty: Pierścień życia (1918) * Tartak słoneczny (1928). Tom piąty: Jesienne liście (1904) * Zielnik (1910) * Krysta. Poemat dram. w 3 odsłonach (1910). Tom szósty: Książka jutra (1922) * Rozmyślania (1924) * W starem lustrze (1928)*

Każdy tom będzie pomnożony o utwory z teki pośmiertnej nieobjęte żadnem z dotychczasowych wydań. Na końcu tomów umieszczone będą przypisy, dotyczące bibljografji i krytyki tekstu.

Tomy I i II już się ukazały
Tomy dalsze w przygotowaniu

WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA

Książnica Współczesnych Pisarzy Polskich

Pisma Leopolda Staffa

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE

obejmie utwory następujące:

*1. Sny o Potędze. * 2. Dzień Duszy. 3. Mistrz Twardowski. * 4. Ptakom Niebieskim. * 5. Skarb. * 6. Pył z Szat Pielgrzyma. * 7. Godiwa. * 8. Gałąź Kwitnąca. * 9. Igrzysko. * 10. Uśmiechy Godzin. * 11. W cieniu Miecza. * 12. To Samo. * 13. Łabędź i Lira. * 14. Wawrzyny. * 15. Tęcza Łez i Krwi. 16. Ścieżki Polne. * 17. Południca. 18. Sowiem Piórem. * 19. Żywiąc się w locie 20. Ucho Igielne. (Nagroda Państwowa 1927)*

Pierwsze zbiorowe wydanie Pism Leopolda Staffa ukaże się z okazji trzydziestolecia Jego pracy twórczej.

Prenumerata 20 tomów broszurowanych (około 200 arkuszy druku) zł. 80.—

(Spłaty miesięczne po zł. 3.—)

w ozdobnej oprawie płóciennej zł. 120.—

(Spłaty miesięczne po zł. 5.—)

Konto czekowe P. K. O. 17.817.

WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA

POD ZNAKIEM POETÓW

SERJA NOWA: zł

St. Baliński — WIECZÓR NA WSCHODZIE 2.50 w opr. ozd. 5.50

K. Iłłakowiczówna — ZWIERCIADŁO NOCY 3.50 w opr. ozd. 6.50

Jan Kasprowicz — KSIĘGA UBOGICH 3.— Wydanie czwarte w opr. ozd. 6.—

Jan Lechoń — KARMAZYNOWY POEMAT Wydanie trzecie

— SREBRNE I CZARNE 2.— Wydanie drugie w opr. ozd. 5.—

Leopold Staff — UCHO IGIELNE 4.— Wydanie trzecie w opr. ozd. 7.—

Juljan Tuwim — CZYHANIE NA BOGA Wydanie czwarte

— RZECZ CZARNOLESKA 4.50 w opr. ozd. 7.50

— SIÓDMA JESIEŃ 3.— Wydanie trzecie w opr. ozd. 6.—

— SOKRATES TAŃCZĄCY 4.— Wydanie czwarte w opr. ozd. 7.—

Kazimierz Wierzyński — LAUR OLIMPIJSKI .50 Wydanie piąte w opr. ozd. 4.50

— PIEŚNI FANATYCZNE 3.— opr. ozd. 6.—

— ROZMOWA Z PUSZCZĄ 3.— w opr. ozd. 6.—

— WIOSNA I WINO 3.— Wydanie czwarte w opr. ozd. 6.—

Józef Wittlin — HYMNY 3.— w opr. ozd. 6.—

Juljan Wołoszynowski — POTĘGA SNU 3.50 w opr. ozd. 6.50

Ostatnio wydana książka z tego cyklu:

Antoni Lange — GDZIEKOLWIEK JESTEŚ.

ROZMYŚLANIA * WIERSZE RÓŻNE

(„Ostatniego zbioru poezyj" część pierwsza i druga 6.— w opr. ozd. 9.—

8 48/32.

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
544840

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001008721059